

# GAZETA POLSKA

Pismo tygodniowe bezpartyjne poświęcone sprawom polskim w Brazylii.

Adres dla listów zwyczajnych: Gazeta Polska, Curytyba-Paraná, Caixa postal B.  
Adres dla przekazów pocztowych (vales postaes), listów poleconych (regi- strados) i pieniężnych: Gazeta Polska, Rua Dr Muricy 143, Curytyba-Paraná.

Redakcja mieści się przy ulicy Dr. Muricy Nr. 143

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce. Ogłoszenia większe według umowy.

Redaktor i wydawca: F. DYBOWICZ.

Numer pojedynczy kosztuje 200 rs.

Przedpłata wynosi:

Rocznie	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
Dla Argentyny	7 pesów pap.
„ Ameryki Półn. i Kanady	3 dolary
„ Królestwa Polsk. i Rosyi	7 rubli
„ Austrii	16 koron
„ Państwa niemieckiego	14 marek

Przenumeratę zamiejscową przyjuują PP.

Bolesław Kłossowski	Ponta Grossa
Michał Nowacki	Nova Galicia
Jan Puchalski	Sao Matheus
Jan Szklentiarz	Prudentopolis
Adolf Schirl	

W Argentynie: The Standard 152 Calle Maipu 152 Buenos Aires.

W Ameryce Północnej: Ameryka-Echo 1140 Nebraska Ave. Toledo. — Ohio.

W Austrii. (Europa): G. Gebethner Co. 23 Rynek Główny, Kraków, Galicya.

## Z OPLATKIEM.

Nadchodzi gwiazdka, ta uroczna nasza gwiazdka, przy której cała ziemia polska śpiewa wielki hymn radosny: „Bóg się rodzi moc truchał... Bóg się rodzi i człowiek się odradza, a myśl jego nie ginie, ale idzie, jak wielki mistrz nasz Adam Mickiewicz powiada, z pokolenia w pokolenie. I ta myśl nasza zmacnia się przy tych uroczystościach religijno-rodzinnych, które wśród nas po praojcach naszych pozostały.

I oto w kółku rodzinnym powtarza się to, co od tysiąca lat na ziemi polskiej przetrwało i trwać będzie w tej formie niezmiennionej.

I w tym uroczystym obchodzie wszystko odbywa się, tak prosto a rzemie. Stół obrusem przykryty, na nim biały, śnieżny opłatek, jeden szczerzy uścisł dłoni, jedno serdeczne spojrzenie. — I cisnie się serce do serca... Pa trzymy sobie w oczy, i cieszymy się tą mądą gromadką dzieciaków, które nam nasza młodzież przypominają.

Pozwólcie, że wśród tej ciszy rodzinnej i „Gazeta Polska“, szczera wasza przyjaciółka, zapuka do drzwi waszych i przyjdzie się z wami podzielić opłatkiem.

To pismo polskie, to cząstka dążeń waszych i myśli! Ono z wami chce być, ono z wami pragnie znośić dobrą i złą dolę i nigdy was nie odstąpić.

Do Was, Czytelnicy i Przyjaciele nasi, tu

na obczyźnie wyciągamy rękę z opłatkiem wigilijnym...

Zyczymy Wam pogody ducha, wiary w przyszłość, hartu w znoszeniu przeciwności, wytrwałości w czekaniu na jej owoce, niegasnącego nigdy zapалу do czynu, wzajemnego zrozumienia i odczuwania wspólnych potrzeb, wspólnych ideałów, a w szczególności życzy my Wam spójności niewzruszonej i jedności, której brak dotychczas był główną przyczyną naszych niepowodzeń.

Niechaj te ponure chmury niezgody, które nad nami zawisły i piorunami w nas bija, rozjeżdżą się nakoniec; niech jasny szmat błękitu ukaże się z poza nich i niech złoty promień jedności rozświetli nasze zgnębione serca.

Niech przemoc brutalna struchleje przed wielką wieścią, że Bóg uciemiężonych i skrzywdzonych przychodzi na świat, aby sprawiedliwość uczynić, poniżonych wywyższyć, a dumnych ciemiężycieli skruszyć...

My zaś pozbadźmy się lenistwa, obojętności, samolubstwa, — staśmy się mężami o silnym charakterze, z gorącą miłością ojczyzny. Bądźmy nieprzejednani w obronie naszych praw, naszych ideałów narodowych, w obec przyjaciół zaś, bądźmy wierni, bądźmy stali, gotowi do poświęceń, bronimy ich sprawy tak, jak pragniemy, aby oni naszej brorili.

Te życzenia składamy z głębi serca. Czytelnikom i Przyjaciółom naszym, a łamiąc się z nimi w myśli wigilijnym opłatkiem, wołamy:

Wesołych Świąt!

## Przysłali!

(Ze wspomnień osadnika w Kanadzie).

Jak okiem sięgnąć — białe, śnieżne morze. Zmęczony wzrok wędrowca próżnoby szuka i punktu wychynienia — jednostajność zimowego krajobrazu nie podsuwa mu żadnego szczegółu. Śnieżny całun, pokrywający równiny i wzgórza, sprowadził je dla oka do jednego poziomu.

Widniejący w dali długi łańcuch wysokich gór, wydaje się także olbrzymim wałem spiętym w fal śnieżnych, które lada chwila się rozprysną.

Blady promień słońca, wychylający się z poza gór, lekko wie przesługuje się po skorupie śnieżnej i, jakby przerażony jej oślepiającą błałością, powraca do swego ogniska.

Cisza taka, jakby anioł śmierci rozpostarł swe skrzydła i wsparł je w krańcach horyzontu. Nawet wiatr pochwycony w lodowate objęcia mrozu, zamarł w jego uścisku...

Nie widać żadnego życia, nie słychać nawet odgłosu dzikich zwierząt; tego zakątku bezgranicznej puszczy i zwierzęta unikają, a jednak żyje w nim człowiek.

Kilkanaście białych pagórków, tulących się u stóp łańcucha gór, to siedziby ludzkie. Chałty przysypane śniegiem przypominają opuszczone pagórki mogilne; bo też ludzie tu mieszkający są jakby żywcem pogrzebani.

Kilkanaście tych chał, to osada leżąca na głównym szlaku prowadzącym ku morzu; — rzadko kiedy przychodzą tu wieści ze świata. Ludzie rodzą się, żyją i umierają, nie wiedząc nawet, czy poza granicami ich puszczy jaki inny świat istnieje. To też nie tęsknią za nim, ale nie wszyscy.

W jednej z chał leżącej na skraju osady, w czarnej, zakopconej izbie, o jednym okienku, w ramach którego zamiast szyb rozpięte są skóry baranie, na prostej, ledwie ociosanej ławie siedział młody jeszcze człowiek, z wołania inżynier, który opuściwszy kraj i rodzinę, zawędrował aż tu, aby pracować przy nowo budującej się przez puszczy koleji.

Ukrywając twarz swą w dlonie, był pogrążony w ciężkiej zadumie. Ubranie jego składało się z pozszywanych włosom do góry skór, które przylegając mocno do ciała wydaniały jego dorodne kształty. Płowy kolor tego stroju dziwnie się odbijał od kruczych, przypuszczonych siwizną włosów młodego człowieka.

Samotnik ten już od godziny przeszło siedział nieruchomie; snać myśl uleciała gdzieś daleko, za wyniosłe łańcuchy gór, za puszcze rzeki i lasy.

Zadumę jego przerwała lekkie pukanie do drzwi:

— Proszę wejść! powiedział ocknawszy się i podniósł głowę. Ciężkie drzwi, obite wojłokiem i plecionką z kory brzozejowej, z cicha się otworzyły i w progu izby stanął olbrzymiego wzrostu człowiek, ubrany w krótki kożuch barani i w długie buty wojłokowe.

Człowiek ten o rozwiniętych, mocno wydatnych kościach twarzy, o niskim czole, jasnych, szarych oczach i również jasnych prawie białych włosach, na pierwszy rzut oka nie budził sympatii; zdawał się być uosobieniem natury pierwotnej, o niskich zwierzęcych instyktach; a jednak, przyjrząwszy mu się bliżej, dostrzedz można było w jego oczach wiele dobroci; twarz jego tchnęła dobroduszością.

Na powitanie gościa, młody człowiek po staąpił parę kroków.

Cóż to, znów tęsknicie?... zapytał nowo przybyły.

W jego grubym, donośnym głosie dźwięczała nuta serdecznego współczucia.

— At, nie tęsknię... tylko nie wesoło mi, drogi gospodarzu, odpart młody człowiek.

— Co to nie wesoło?... Wstydyście się, przecież jutro radosny, jasny dzień, wielkie święto Bożego Narodzenia!.. powiedział gospodarz.

— O... pamiętam... a dziś Wigilja!.. sze pnął smutno Kazimierz — wam wesoło gospodarzu, boście u siebie, tuście się urodzili...

tu macie rodzinę... ale ja!.. Ja nie wiem nawet, co z moją się dzieje — z żoną, z dzieckiem... Tysiące mil...

— At, da Bóg zobaczycie ich... Będą i wieści!.. A teraz nie smućcie się, chodźcie do naszej izby, do moich, to raźniej wam będzie — mówił z współczuciem gospodarz.

— Dziękuję wam... dziękuję serdecznie! Wście dobrzy bardzo!.. powiedział Kazimierz i wyciągnawszy rękę, ścisnął grubą dłoń. Pozwólcie mi jednak zostać tu jeszcze... z memi myślami; wkrótce przyjdę do was.

— No, to zostańcie z Bogiem, a przychodźcie prędko; powiedział gospodarz i wyszedł, Kazimierz usiadł znowu na ławie i zamyslił się.

Po chwili wyjął z zanadru złożony papier i rozwinął go ostrożnie. W papierze były dwie fotografie: młodej kobiety i dziecka. Wziął każdą z nich do ręki, wpatrywał się w nie z miłością; w jego oczach zabłyściły łzy, które powoli stoczyły się po policzkach.

Widok drożych osób obudził w nim wspomnienia chwil szczęśliwych, które może nie powrócą już nigdy.

Przez łyż nie widział już fotografii, a jednak trzymał je w wyciągniętych rękach, nie mógł oderwać od nich oczu. Wszystkie bóle i cierpienia szarpały jego serce... a nade wszystko jedna, niezmiernie tęsknota.

Zmrok zapadał, a on pozostawał wciąż w jednakowej pozycji, z wyciągniętymi przed siebie rękoma...

Do izby zajrzała jakaś kobieta i cofnęła się, przymykając drzwi cichutko.

— Modli się — pomyślała.

Wieczór już nastał, pierwsza gwiazda ukazała się na horyzoncie.

Nagle przed chał weszły się jakiś hałas; przytłumione rozmowy kilku ludzi, rzenie korni, skrzypienie ciężkich sani. Drzwi się otworzyły; stanął w nich gospodarz.

Mroźne powietrze wdarło się do izby.

— Chodźcie.. są wieści!..

Kazimierz porwał się z miejsca.

— Wieści?... zjadł wieści?... zapytał niedowierzająco, słabym głosem.

Trzymane w rękach fotografie wysunęły się i upadły na ziemię.

— Przybył „obóz“... Chodźcie!

Kazimierz pobiegł ku drzwom.

Przybycie tak zwanego „obozu“ stanowiło epokę w życiu mieszkańców tego zakątka. Zdarzało się to raz lub dwa najwięcej w ciągu zimy.

Oboz taki, składający się z kilkunastu rozłożystych sani, wozil z sobą towary, zapopatrucą w nie wszystkie stacje wielkiego traktu, oddalone od siebie o kilkadziesiąt mil. Z obozem tym przybywała jednocześnie i poczta, przywożąca wieści ze świata.

Gdy Kazimierz wybiegł przed chał, zobaczył długi szereg sani przyspanych śniegiem. Zmęczone konie mocno buchały parą, która w jednej chwili marzła i osiadała szronem

## KOT BRAZYLIJSKI.

(Ciąg dalszy).

— Oto w ten sposób go chowam — obiaśnić. Dla ruchu pozwalam mu przez cały dzień biegać po izbie, a na noc zamykam go w klatce. Można go wypuścić, kręćcą korbą z korytarza, albo, jak widziałeś, można go zamknąć w tej samej klatce.

Wsunął rękę pomiędzy pręty, chcąc pogłaskać lśniący, dyszący bok zwierzęcia. Everard chwycił moją rękę, i wyciągnął ją z marsmem na twarzy.

— Mogę cię zapewnić, że on bezpieczny nie jest. Nie myśl, że skoro ja mogę sobie z nim pozwalać, więc i każdemu innemu wolno On ogromnie jest wyjątkowy w swich sympatiach, nieprawdaż, Tommy? Aha, słyszysz że mu niosą śniadanie! No i... cóż? Tomy cie szysz się stary?

Słyszac kroki w korytarzu, zwierzę skoczyło i zaczął tam i z powrotem chodzić po wąskiej klatce; błyskał przytem żółtymi oczyma i przesuwal drgającym, purpurowym językiem po białych, ostrych kłach. Wszedł groom, niosąc na tacy ciwartkę surowego mięsa i rzucił ją zwierzęciu za kratę. Zwierzę lekkim suszem rzucił się na mięso, zaniósł je do kąta i tam przytrzymując łapami, rwał je i rozdzierał na kawałki, pódnosząc raz po raz skrawiony swój pysk, by popatrzyć na nas. Było to wi-

dok, pełen jakiejś złościwej, grozy, a jednak zajmujący i piękny.

— Powiedz, czy mozesz mi się dziwić, że ja za nim przepadam? — zwrócił się do mnie gospodarz, gdyśmy opuścili izbę. — Zważ przytem, że ja sam to wychowałem, od małego. To nie był żart, wierzaj mi, przewieźć go tu ze środka południowej Ameryki! Ale mam go tu, zdrow jest i cały, najdoskonalszy egzemplarz tego gatunku w Europie. Zoologiczny ogród w Londynie pragnie go dostać koniecznie, ale ja za nic nie mogę się z nim rozstać. Ot, ale ja już za długo każe ci jeździć na moim „koniku“ to też najlepiej będzie pójść za przykładem Tommy, chodźmy, drugie śniadanie nas czeka!

Mój południowo-amerykański krewniak taki był przejęty parkiem swoim i dziwanymi jego mieszkańcami, że nie sądziłem zrazu, by poza tem miał inne jakie interesa na głowie. Że jednakże miał jakieś, i to w dodatku na głębi, przekonałem się po ilości telegramów które otrzymywałem. Przychodziły o różnych porach dnia, on zaś zawsze je otwierał z ciekawością i niepokojelem na twarzy. Myślałem, że chodzi tu może o zakłady na wycigach, albo o grę na giełdzie, bądź co bądź wido cnie przeprowadzał pilny jakiś i ważny interes. Przez 6 dni mojego pobytu przychodziły co najmniej trzy lub cztery telegramy dziennie, a były dni, gdzie ich było siedem lub osiem.

Te 6 dni spożytkowałem tak dobrze, że

przy końcu byłem w najserdeczniejszym stosunku do mojego kuzyna. Co wieczór do późnej nocy wysiadywaliśmy w bilardowym pokoju; a wtedy on mi opowiadał tak dziwne historie przygód swoich w Ameryce, przygód tak desperackich i tak zuchwałych, że nie mogłem ich pogodzić z osobą tego małego, opalonego, pyszadziego człowieka, którego przed sobą widziałem. Nawzajem i ja znów z mojej strony puszcim się na opowiadanie różnych osobistych doświadczeń z londyńskiego życia; tak go to bardzo zainteresowało, że przysięgł odwiedzić mnie i zatrzymać się czas jakiś w moim mieszkaniu. Miał o chotę poznać wesołą, szycową, modną dziedzinę stołecznego życia, a szczerze mówiąc trudnoby mu tam znaleźć lepszego przewodnika odemnie.

Dopiero ostatniego dnia pobytu mego odważyłem się dotknąć tego, co mi na sercu leżało. Powiedziałem mu otwarć o finansowych moich trudnościach i grożącej mi ruinie i prosiłem, by mi nie odmawiał rady, co prawda w nadziei, że i czegoś solidniejszego mi nie odmówi. Słuchał uważnie, puszczaćjąc z cygara gęste kłęby dymu.

Przecież w każdym razie ty jesteś spadkobiercą naszego styjia, lorda Southerton? — zauważył wreszcie.

— Prawda, ale on mi nigdy nie chciał wyznaczyć jakiej takiej pensji.

— Tak, tak — słyszałem że on skąpy bardzo. Biedny ty w bardzo trudnym zna-

lazie się położeniu! Ale nawiasem mówiąc, czyś nie miał w ostatnich czasach jakiej wiadomości o zdrowiu lorda Southerton?

— Zawsze od czasu mego dzieciństwa, zawsze kwękał i niby to zawsze miał się bar-dzo źle.

— To to! — skrzypiący wóz co się zowie! Mozesz jeszcze długo na swoje dzieciństwo poczekać. Ależ to niezręczna ta twoja po-lycia!

— Spodziewałem się trochę, że pozna-wszy stan rzeczy, możebyś zechciał na razie dopomódz mi zaliczką...

— Ależ proszę cię mój drogi, już nawet o tem nie mów! zawołał z serdecznem wy-laniem. — Ogadamy to szczegółowo dziś wieczór i daję ci słowo, że cokolwiek będzie w mojej mocy, wszystko gotów jestem zro-bić dla ciebie.

Nie gniewałem się swoją drogą, że moje odwiedzenie dobiegają końca, gdyż bądź co bądź nie jest miłem czuć, że ktoś w domu gorąco pragnie, byś się raz przecie wyniósł. Znicznawidziłem smagłą twarz i odpychające oczy pani King. Przystała być zaczenie ni-grzeczna — hamował ją strach przed mężem widocznie ale w szalonej swojej zafdrości dochodziła do tego że zupełnie mnie ignorowała; nie odzywała się do mnie i cały mój pobyt w Greylandas zatruła, bo w obecności jej byłem nie swój i traciłem swobodę. Zachowanie jej ostatniego dnia zwłaszcza tak było impertynenciem, że byłbym napewno-

na skórze zmęczonych długą podróżą począwszy zwierzą. Idący obok sani ludzie, otuleni w olbrzymie kożuchy, podobni byli do ruchomych pagórków śnieżnych; ich brody i wąsy pokryte były szronem i sopłami lodu.

Przybycie obozu zrobiło wielkie wrażenie wśród mieszkańców osady. Wszyscy wybiegli na drogę, aby zobaczyć nowe ludzkie twarze. Zajęcie stało się tem większem, gdy nowi ludzie powiedzieli, że „obóz“ popasac będzie w osadzie przez kilka dni.

Wszystko to mało obchodziło Kazimierza, myślał on tylko o poczie i drżał na myśli, że może nie przywiozła dla niego żadnej wieści. Nie spieszył się też z zapytaniem — chcąc chociaż na chwilę przedłużyć wątpliwość nadzieję. Wyjrzał go wszakże gospodarz i dotarłszy pierwszy do torby pocztowej, powrócił po chwili do Kazimierza.

Stanął przed nim, schował poza siebie ręce i powiedział z uśmiechem:

— I do was jest list!  
— Nie żartujcie, gospodarzu!  
— Jakżebyśmy ja śmiało żartować z was — oto macie, i podała mu grubą kopertę...

Kazimierz, spojrzawszy na adres, zdołał tylko wyszeptać:

— To od nich!... i wbiegł do izby.

Ręce mu drżały gdy zapalał świecę. Rozpieczętował wreszcie kopertę: znajdowało się w niej kilka cienkich arkusików listowego papieru, oraz mała paczka obwinęta w papier woskowy.

Rozwinąwszy ją, upuścił paczkę na stół... wysunął się z niej — oplatek.

Na widok jego, przypomniała mu się odrazu cała szczęśliwa przeszłość; widział dom rodzinny, rodziców, żonę i dziecko. Pod naciskiem wspomnień nie mógł stłumić wzruszenia i zapłakał głośno.

Były to błogie łzy ukोजना. Oplatek był dla niego zwiastunem nadziei. Zwątpienie i rozpacz, które przed chwilą szarpały jego serce, ustąpiły miejsca radośnemu uniesieniu.

Wielkie uczucie miłości zmartwychwstało. Gdy minęły pierwsze chwile wzruszenia, Kazimierz pochwyił kartki listu zapisane drobnymi napisami i zagłębił się w czytaniu.

W osadzie tymczasem zapanował ruch gorączkowy: kto tylko żył, spieszył na spotkanie nowych ludzi, prowadzących „obóz“.

Wśród wesółych okrzyków, nawoływań i ogólnego zamieszania, boczną ścieżką przesuwało się dwóch ludzi nie przyjmujących udziału w ogólnym zajęciu.

Szli oni w milczeniu. Zapadający zmrok nie pozwalał odróżnić ich postaci.

Gdy się zbliżyli do jednej z chat, wyszedł z niej jeszcze jeden człowiek i, zrównawszy się z nimi, rzucił tylko jedno słowo pytania:

— Przyszłaś?  
— Przyszła... odpowiedziano mu.  
— Komu?  
— Kazimierzowi.  
— Dzięki Bogu!.. odżyje biedak.  
— I my z nim.  
— Idźmy do niego!..  
— Tam idziemy właśnie.

Przyspieszyli kroku i szli w milczeniu, aż do chaty Kazimierza.

Nareszcie zatrzymali się przy drzwiach. Kazimierz poznawszy odgłos znajomych kroków, powstał, wziął do ręki oplatek, podniósł go do góry i stanął na środku izby.

Drzwi się otworzyły i goście weszli.

Oczy instynktowo skierowały się na podniesioną dłoń Kazimierza.

Śnieżnej białości oplatek zdawał się jaśnieć aureolą. Ręce trzech ludzi mimowoli wyciągnęły się w kierunku jego; tak wiele on im przypominał!..

Ze wzruszenia nie mogli przemówić jednego słowa. Wzruszenie ich udzieliło się i Kazimierzowi, chciał on przemówić, aby przerwać milczenie, zdołał wszakże tylko zawołać:

— Drodzy moi!

Ten krótki okrzyk był aż nadto wymownym. Zrozumieli go wszyscy i padli sobie w objęcia ściskając się serdecznie, płakali.

Wyjechał, gdyby nie ta zapowiedziana wieczorna rozmowa, która, jak się spodziewałem, podreperuje mi interesy.

Do rozmowy tej przyszło bardzo późno dopiero, ponieważ mój gospodarz, który dnia tego więcej otrzymał telegramów, aniżeli dni poprzednich, poszedł po obiedzie do swego pokoju i wychylił się stamtąd dopiero, gdy służba już spać poszła. Postyszałem nareszcie, że wedle zwyczaju obchodzi dom i zamieszkał wszystkie drzwi na noc, aż w końcu przyszedł do bilardowego pokoju, gdzie ja na niego czekałem. Tęga jego postać otulona była w szlafrok, na nogach miał czerwone tureckie pantofle bez pięt. Zasiadł w fotelu i przyrzucił mi sobie szklanke grogu; zauważyłem, że w tym grogu wiele więcej było whisky niż wody.

— Słowo daję! — rzekł — A to dopiero noc!

I w istocie. Wicher wylł i huczał dokoła ścian domu — okienne trzęsły i trzęsły się, jak gdyby je wiatr chciał powyrwać. Światło lamp, prawem kontrastu, wydawało się tem milszem, woń dymu cygar naszych tem rozkoszniejszą.

— Tak więc, mój chłopczy, mamy teraz cały dom i całą noc sami dla siebie. Daj mi wyobrażenie o tem, jak stoją twoje interesy, a ja rozpatrzę, co cię da zrobić, by je jakoś przywieść do ładu. Chciałbym znać wszystkie szczegóły.

Tak zachęcony, zacząłem długie wylicza-

A byli to ludzie poważni wiekiem. Najstarszy p. Piotr — starzec z siwą długą brodą i pooranymi na czole bruzdami, odezwał się pierwszy:

— No, drodzy bracia, teraz możemy uroczyste obchodzić Wigilię Bożego Narodzenia, mamy już życzenia z domu i opłatki; trzeba aby wieczorem odbyła się według tradycyjnych zwyczajów.

— Naturalnie! — przywóżyli wszyscy.

— Już gwiazdy błyszczą na niebie, więc nie zwłóćmy: ty panie Adamie, jako doświadczony kawalerzysta, zajmiesz się rekwizycją siana pod obrus, ja z Janem dostarczymy żywności, a pan Kazimierz zajmie się przygotowaniem — mówił p. Piotr głosem dowódcy.

— Wedle rozkazu!.. — odpowiedzieli wszyscy i po chwili izba się opróżniła, każdy poszedł spełnić dane mu polecenie.

Gdy po upływie pewnego czasu, przybrani odświętnie, zgromadzili się w izbie, była ona również uroczysto przybrana: na stole, wysuniętym na środek izby i przykrytym białym obrusem, stał małe krucyfik, a obok niego drewniany talerzyk z opłatkami.

Cztery nakrycia, składające się z glinianych i drewnianych misek i najprostszej konstrukcji noży i widelców, czekały na biesiadników.

Pan Piotr sięgnął pod obrus, jakby chciał się przekonać, czy jego rozkaz został spełnionym. Ruch jego zauważył p. Adam, i odezwał się wesóło.

— Jest, jest.. lecz co było z tem kłopotem! Tu w tej przemarzej ziemi, nawet siana nie mają; dodał, gniewnie pokręcając wąs.

Przedtem nim zasiedli do stołu, przełamali się opłatkami. Wszystkie ich życzenia wzajemnie strzęciły się w milczących, lecz wymowniejszych nad słowa uściskach.

— Już mieli usiąść do wieczerzy, gdy nagle pan Piotr, uderzając się w czoło, zawołał:

— Ot, człowiek stary to i zapominał, ale wam młodym godziło się pamiętać!..

— O czym — zapytał p. Adam.

— O choince..

— Dla kogo?

— Dla tych, którzy przy niej; w tej chwili może modła się za nas, dla waszych dzieci i moich wnuków.

Przypomnienie to zapeściło na chwilę czoła biesiadników; najmłodszy z nich, p. Jan, wbiegł z izby i po upływie pewnego czasu wrócił, wlokąc za sobą spore drzewko wigilijne, jeszcze nie zupełnie otrągnięte ze śniegu.

Ustawiono je w kącie izby; znalazły się i świeczki, któremi oświetlono gałęzie.

Nie było tylko podarków, bo też i nie było kogo darzyć.

Po skromnej wieczerzy, biesiadnicy usiedli wokół drzewka wigilijnego i po chwili radośna nuta zabrzmiła, nie tylko w izbie, ale i po całej chacie. Długo po północy, kiedy już świece pogasły i w chatkach ludzie posnęli, odbijała się echem o szczyty śnieżnych gór kołoda:

„W łożbie leży, któż pobieży“.

## Wspomnienie.

Mam ja choinkę z młodych lat  
Co Boże Narodzenie —  
Wzięłem ją sobie w drogę w świat!  
I szumi drzewko za mną w ślad...  
Nazywa się wspomnienie!

Hej! szumi, rośnie w wielki bór,  
A od podarków gnę się...  
Na drzewku — stary ojców dwór,  
Stodołek, chatyn cały sznur!  
Kościółek w onym lesie!

Hej! szumi drzewko poprzez łąk.  
Ponową wysrebrzą! —  
Hej! rwą się myśli, niby w tan!  
Przed starym dworem, do białych ścian,  
Gdzie chaty a sukmany!

Hej! rwą się myśli z drzewkiem w szum,

Aż echa idą borem!  
Tam, gdzie sierniżny żyje tłum,  
Gdzie chata z chatą, z kumem kum,  
Gdzie światło błyska dworem!

Hej! rwą się myśli w rozświetl tę,  
Co z pierwszą wstaje gwiazdą...  
Hej! widzą oczy poprzez łąk,  
Na srebrnych śniegów białem tle,  
Prastare ojców gniazdo!

Hej! widzą oczy wielki bór,  
Srebrzysty łąk ponowu!  
Spiewają chaty, śpiewa dwór —  
I płynie bratni głosów chór  
W kościółek modrzewiowy!

Hej! lśni w tym chórze dziada włos,  
Brzmi mojej piersi drżenie...  
Bo choć po świecie rzuca los,  
Choinka za mną szumi w głos!..  
Nazywa się: Wspomnienie!

## Co robić?

W Europie swego czasu odegrało nadzwyczaj poważną rolę mieszczaństwo, a dzisiaj śmiało można twierdzić, iż ono stoi u steru rządów.

Obecnie w Polsce najbardziej widoczną jest jego siła i znaczenie na Dolnym Śląsku czyli w Księstwie Cieszyńskim.

Lud w owym Księstwie jest rdzennie polskim, a mieszczaństwo przeważnie niemieckie. I pomimo to, że lud jest liczebnie silniejszy i swą zubożoną pracą żywi wszystkich, to jednak rzeczywistymi panami w Cieszyńskim są mieszczańscy Niemcy, którzy uchwycili ster rządów w swoje pazury, i robią co się im żywnie podoba.

I tak: zakładają dla Polaków szkoły o jęziku niemieckim wykładowym, starają się im odebrać rodzinny język i polskie obyczaje; przeprowadzają swoich ludzi do krajowego sejmu (kongresu) i do rad gminnych (kamer muncypalnych) ustanawiają prawa użyteczne dla siebie, a krzywdzące polskiego olnika i t.d.

Niejednemu zapyta: dlaczego w Cieszyńskim rządzą Niemcy, chociaż Polaków jest daleko więcej?

A no dlatego, że Niemcy są skupieni w miastach, dzierżą w swym ręku przemysł, handel i rzemiosła i dbają o oświatę młodych pokoleń... Przemysł i handel przynoszą daleko większe zyski, niż inne zajęcia i czynią ludzi bogatymi, a bogaci za pomocą pieniędzy potrafilili biednych i mniej oświeconych, jakim są Polacy w Cieszyńskim, zaprzędną do swojego wozu i kierować nimi jak się im podoba.

Obecnie Polacy Księstwa Cieszyńskiego zrozumieeli czego im brak, co ich boli, przeto: zakładają czyste polskie szkoły, niektórzy uczą swych synów na rzemieślników, biorą się do handlu, łączą się w gromady i zakładają biblioteki, czytelnice i t. p. instytucje i pewno że zwyciężą, bo jest ich siła i już poczuili swą moc w sobie, w swych piersiach, w zjednoczeniu.

Otóż, żeby być silnymi, żeby nie dać się poniewierać innym, to trzeba przedewszystkiem nabywać ziemię i szczerze na niej pracować, następnie — brać się do rzemiosła, handlu i przemysłu i przedewszystkiem dbać o oświatę młodych pokoleń.

Naród, który chce istnieć i kroczyć naprzód wraz z innymi musi się rozwijać wszechstronnie. Społeczeństwo, składające się jeno z rolników, nie posiada sprężystości, jest ociężałe i bardzo podobne do drzewa, z którego najżywniejsze soki wysysa lian lub inny jakiś pasożyt.

Zastanawiając się nad sprawami Księstwa Cieszyńskiego, ni z tego ni z owego wpadło mi na myśl, żeby je porównać z naszym położeniem w Paranie. I o dziwo! nadzwyczajne podobieństwo stosunków uderzyło mię, jeno z tą różnicą, że w Paranie jest daleko gorzej, bo w Cieszyńskim lud organizuje się i bierze do pracy nad swym odrodzeniem, a tutaj wszystko i wszystkich ogarnęła jakaś apa-

tya, zniechęcenie. O tem co powinniśmy zrobić bardzo nie wielu myśli, a reszta albo pracuje bez żadnego wyższego celu (lud) albo pije, gra w karty, usuwając się od jakiejkolwiek pracy społecznej (tak zwana inteligencja).

Ale czy już nie dosyć tego wesółego lecz beżmyślnego życia? czy nie czas byśmy się ocknęli i wzięli do pozytywnej pracy my inteligencji wraz z ludem?

Oj czas i to wielki czas! Złączmy przeto swoje wysiłki wszyscy, którzy choć trochę posiadamy w sobie ducha społecznego, i starajmy się spłacić dług, jaki zaciągnęliśmy względem swojego narodu, względem całej ludzkości.

A sądzę, że bardzo wiele możemy zrobić, gdy pójdziemy pomiędzy lud nie jako apostołowie pustego słowa, lecz czynu; nie jako propagatorzy górnych, a pustych hasel, lecz zubożnej, cichej i systematycznej pracy.

Potrzeba w Paranie wielu polskich kupców i przemysłowców i w tych to gałęziach pracy społecznej jest bardzo wiele do zrobienia, przeto nasza inteligencja niech nie marnuje czasu, niech nie narzeka, a bierze się do pracy, zaczynając od A, jak to robią Niemcy i parańscy Turcy.

Jeszcze obecnie handel w Paranie nadzwyczaj popyta, na przemysle można robić świetne interesy tylko trzeba chcieć, a nie zniechęcać siebie i innych.

Jeżeli zdolniejsi Polacy wezmą się do handlu i przemysłu, tym sposobem mogą zrobić bardzo wiele dobrego dla siebie i dla ludu.

Dla uświadomienia ludu najwięcej może zdziałać polska prasa, więc najzdolniejsi powinni stać na straży naszych interesów, powinni zawsze się starać wyczuć tętno naszego życia i nam przewodzić, rozświecać drogę ideałami.

Lud zaś w miarę uświadomienia nie będzie tylko rozszerzał swe posiadłości ziemskie lecz wyda ze swego łona rzemieślników i młodszy inteligencję, stanie się świadomym swych celów i nie będzie chodził po amoku.

Otóż powtarzam: możemy powieścić wtedy tylko, że nie zginiemy, gdy będziemy posiadać oprócz ziemi w swoich rękach rzemiosła, handel i przemysł, gdy nasze szkolnictwo odpowie swojemu zadaniu i gdy nasi, wszystkich zawodów będą się wzajemnie popierali, gdy zdołają się jako zorganizować.

Postarajmy się zaważać, żeby nas nie spotkał los Ślązaków z Księstwem Cieszyńskim.

M. S. Zwagrodski.

## Niemcy Karpaccy.

Znany publicysta p. A. Chołojewski ogłosił zajmujący artykuł o kolonistach niemieckich w Galicyi, którzy do niedawna jeszcze żyli sobie w najlepszej zgodzie z Polakami, nie myśląc wcale o jakichś pretensjach do praw „trzeciej narodowości w Galicyi“ i o jakichś tęsknotach do Berlina i Hohenzollernów, ale niespodziewanie w ciągu lat kilku, dzięki agitacji wszechniemieckiej, zaczęli wrzeszczeć „Deutschland, Deutschland ueber alles“ i występować buńczucznie przeciw rządowi polskiemu. W słowniku wszechniemieckim znalazł się nowy wyraz „Katpaten — Deutschstum“.

„Cichy swrab galicyjski“ — pisze Chołojewski — stał się z dnia na dzień politycznym czynnikiem. Zainteresowano się nim i w Wiedniu i w Berlinie. Przelotnie tylko w chwili pierwszego wahanja w dniach bolesnej rozterki, na widok rwącego się dzieła kolonizacyi poznańskiej, przemysłowano nad Spreą (t. j. w Berlinie przyp. red.) o przedsięwzięciu galicyjskiego „szwaba“ na zachód, o wzmocnieniu nim siły niemieckiej na zachodnich kresach polskich. Wioski Józefińskie przerezdziły się nawet tu i ówdzie; opuszczone miejsca zajęli Polacy i Rusini. Jedynakże eksperyment prezydentury uznano rychło za chybiony, zwłaszcza gdy wyzwolony z pod polskich rządów „Niemiec galicyjski“ głośnie narzekał, wzywając się do dobrodziejstwa komisji kolonizacyjnej. Uznano zresztą, że w szczerem interesie ojczyzny niemieckiej leży raczej, aby dzieło Józef-

Odebrałem mu latakę z ręki, a on zmierzyl ku drzwiom.

— Jego spiżarniana szafka jest na korytarzu rzeck. — Pozwolisz, że wyjdę na chwilę? Wyszedł, a drzwi zamknięte się za nim z krótkim metalicznym trzaskiem.

To zatrzaśnięcie oddech mi zaparło w piersiach. Zalała mnie nagła fala przerażenia. Niejasne przecucie jakieś potwornej zdrady ścisło mi krew lodem. Skoczyłem ku drzwiom, ale klamki nie było po wewnętrznej stronie.

— Hej! — krzyczałem. — Wypuść mnie stąd!

— Cicho! Nie rób hałasu! — odpowiedział mój gospodarz z korytarza. — Masz światło — wszystko w porządku.

— Tak, ale nie mam ochoty siedzieć tu zamknięty i do tego sam.

— Nie masz ochoty? Czy tak? — Posyłałem serdeczny wybuch jego śmiechu. — Nie bój się. — Nie długo będziesz sam.

— Wypuść mnie, mówię ci — powtórzyłem gniewnie. — Wiedz, że nie znoszę takich głupich i bezsensownych żartów!

To nie jest żart bezsensowny — odpowiedział i znowu wstrętnie się zaśmiał. Tu nagle postyszałem pomimo ryku wichurowi, zgrzyt i skrzyp obracanej kołby i łomot kraty, przesuwanej przez otwór ścienny. Wielki Boże! On wypuszczał brazylijskiego kota.

(Dokończenie nastąpi).

wydawało się, że wielka rzeka przebywa obok nas z szumem.

— Muszę jeszcze zajrzeć do mojego kota, zanim się położę — rzekł mój gospodarz. — Silny wicher zawsze go rozdrażnia. Czy pójdziesz ze mną!

— Ależ naturalnie! — odpowiedziałem.

— Tylko stąpaj cicho i nie mów, bo wszyscy śpią.

Cicho przeszliśmy przez sień oświeconą, wyłożoną perskim dywanem i przez drzwi na przeciwnym końcu. Ciemno było w kamienным korytarzu, stajenna latarnia wisiła na haku. Gospodarz mój zdjął ją i zapalił. W korytarzu nie widać było kraty — wnioskowałem stąd, że zwierz musi być zamknięty w klatkę.

— Wejź! — rzekł mój kuzyn i otworzył drzwi.

— Gniewny pomruk wskazywał, że wicheru w istocie rozdrażniła zwierzę. W migotliwym świetle latak dojrzelismy je, olbrzymią czarną masę, skłonioną w kącie klatki i rzucającą bezkształtny, niesamowity cień na białoną ścianę. Ogon drgał gniewnie, rozrzucając słomę.

Biedny Tommy nie jest w najlepszym humorze — zauważył Everard King, podnosząc latakę i zagłębując do klatki. — Wygląda, jak sam czarny diabeł, czy nie prawda? Muszę mu dać co przeskaki, to sobie humor poprawi. Czy byłbyś łaskaw, mój drogi, pozostawić przez chwilę latakę?

nie wszystkich moich dostawców i wszystkich moich wierzyteli, zaczynając od gospodarza domu, kończąc na lokaju. Miałem rachunki i notatki w pugilarze, to też pochlebiam sobie, że zdałem bardzo praktyczne kupieckie sprawozdanie z wcale niepraktycznego sposobu życia i z opłakanych moich finansów. Przygnębiło mnie jednakże, gdy zauważyłem, że oczy mego towarzysza patrzy z roztertaniem, a uwaga skierowana jest gdzieśindziej. O ile raz po raz wtrącił jaką uwagę, czynił to tak mechanicznie i tak czysto powierzchownie, że pewien byłem, iż wcale nie słucha, co mówię. Od czasu do czasu zdawał się budzić i przybierając wtedy pozor zainteresowania, prosił mnie, bym powtórzył, lub wytłumaczył szerzej to, lub owo — jednakże bo chwili zapadał znowu w to swoje zamyślenie.

Nareszcie podniósł się, rzucając w ogień niedopalone cygaro.

— Powiem ci prawdę, mój kochany — rzekł. — Nigdy nie miałem głowy do cyfr stworzonej, to też mi daruj. Spisz to wszystko porządnie, zesumuj i daj mi cyfrę ogólną. Zrozumiam lepiej, widząc to czarne na białem.

Była to propozycja wcale zachęcająca. Przrzekłem, że uczynię, jak sobie życzył.

— Ale teraz już czas, abymy nareszcie spać poszli. Doprawdy — toż to już — pierwsza bibe w sieni!

Głos bijący zegara przedzierał się przez gwałtowny szum wichru. Wiatr dął tak, iż

fa II-go zachować, nie rezygnując z myśli kontynuowania go w pomyslniejszych okolicznościach. Oceniono dorazną jego wartość, jako požądaniego pozor do zgłoszenia i tu także niemieckich pretensji do wywieżenia także nad Sanem i Dniestrem „niemieckiego sztandaru“. Od tej chwili zyskał szwab galicyjski moźny orędownik. Do jego ci-nych siedzib począł napływać pieniąż agi-tacyjny, zjawili się „traue deutsche Maenner“ idący z „dobrą nowiną“ do chat, napęczniały do nieznanej przedtem objętości portfele po-boźnych pastorów. Główny bankier niemie-ckiego patryotyzmu wędrownego, Berlin, płaci kosztą odzyskania zapomnianej diatwy Germanii.

Zarazem ogłoszono świt nowej kwestyi, „kwestyi niemieckiej w Galicyi“ której pora-nek właśnie przeżywamy. Pomyślano o orga-nizacji. Powstał znany już dziś z hałaśliwe-go zachowania się „Związek chrześcijańskich Niemców w Galicyi“. Ściągnięto kolonistów na wielki mityng narodowy do Stryja. Z peł-nym trzosem zgłosił się potężny „Szulverein“ wznosząc szkoły niemieckie tam, gdzie do-tychczas, ku zupełnemu zadowoleniu osadni-ków prosperowały polskie. Niemniej, moźny „Gustaw Adolfverein“ opiekun wyznania ewan-gelickiego, kroczy tuż obok, z kieszenią ró-wnieź nie zamkniętą. Nawet świeżo utworzo-ny fundusz Roseggera niesie do dalekich gal-icyjskich zakątków swój dar patryotyczny. Bogata niemiecka w Białej interesuje się ży-wo ruchem, podwójnie jej bliskim. Ludzie i pieniąż płyną na wschód. Wybijają się na powierzchnię działacze, w rodzaju stanisławo-wskiego pastora Zoellera, krążącego ustawi-ćnie na przestrzeni między Galicyą, a Berli-nem, Galicyą a Wiedniem. Zjawia się organ prasowy, który uderza w wojenne surmy, po-dnosząc krzyk o „uciskaną niemiecką“. Ton całego ruchu nabiera ostrości, coraz gwałto-wniej nacierając na polski zarząd kraju. Do bram namiestnictwa we Lwowie puka wresz-cie pewnego dnia „deputacya“ od „Niem-ców galicyjskich“ niosąc dokładne sprecyzo-wane „narodowe żądania“. Wszystkie pozory mówią o narodzinach trzeciego narodu w Galicyi.

Zdumiony tyłu zmianami kolonista nie łatwo wciąga się do nowej roli. Jest przy tem trochę ociężały. Hcjni i zapalczywi opie-kunowie imponują mu przecież. Jeszcze na ogół żyje w dobrej sąsiedzkiej komitywie z otoczeniem, tu i owdzie słuha po dawnemu polskiego kazania, a w szczerej pasyi naj-chętniej zaklnie rodowitą polszczyzną. Impor-towany ruch nie wywołuje zapalu. Lecz zło ty strumień żłobi wolna zmiany i na kolo-nii. Zjawia się we wsi „Deutsches Haus“ z miłą i zapraszającą do wnętrza salą zebrań, ze sklepikiem, który udogodnienia dla klien-tów posuwa do ostatnich granic uprzejmości. Nowopowstałe szkoły niemieckie, umieją prze-dziwnie kaptować sobie i diatwę i rodziców; mają w zanadru zachęty nietylko platoniczne ale wymagającą naczego, dają wszystko. Ten i ów tedy, nie w ciemną bitę, staje po stro-nie „patryotów“ którzy tyle mogą i sam za-czyną zaprawiać się w czynnym patryoty-cznym rzemiośle. Czoraż to opróżnia się gdzieś szkółka polska, a zapelniają się jeszcze mo-kre mury, wzniesione przez hojny „Szulve-rein“. Popłatna agitacya zyskuje ochotników którzy szybko i pojętnie wyrabiają się, pod okiem wędrownych mistrzów. Z nienajgor-szym skutkiem działa teror, swoje robi także pierwotny apetyt chłopa. I tak rodzi się zwolna „Karpathen-Deutschtum“ nowa jedno-stka w daleko sięgającej gospodarce Niemiec ogniwo, spajające rozerwany łańcuch niemie-ckich osad, z których ostatnie oparły się o stoki Bałkanów.

Pochodowi temu towarzyszy, przez nasze ziemię wierny sprzymierzeniec: Żydzi. Nawet ci, co przy palestyńskim winie życzą sobie być „na przyszyty ręk w Jerozolimie“ nawet budownicowie Syonu, chętnie występują tu, pod karpatami, w roli germanów, torując ścieżki niemieckim zdołbczym. Oni to przecięć, ci nigdy nie zawodzący sojusznicy siły, podtrzymują o miedze od nas germańskie rządy na Bukowinie, „Niemy karpaccy“ — sami mogliby pozostać na zawsze ustępem z politycznej fantazy. Groźni są jednak przez swój milion semickiej rezerwy, która nazaj-trz po klęsce naszej z radością zajęłaby napowrót miejsce, jakie wczoraj zajmowała u nas, a które „tak chlubnie“ od stu lat zajmu-je nad Wartą.

## Rozmaitości.

### Walka nauki ze zbrodnią.

Olbrymie postępy chemii w latach osta-tnich przyczyniają się między innymi także coraz skuteczniej do walki ze zbrodnią. Nie-jednokrotnie już mała plamka krwi oddała zbrodniarza w ręce sprawiedliwości, włoś znalezione na ubraniu, odcisk kurka na na-boju, stały się nieraz dowodem zbrodni, dzięki wydoskonalonym metodom nowoczesnej che-mii sądowej. Tylko jeden rodzaj zbrodniczej działalności opiera się dotąd wysiłkom nauki: rzucanie bomb; albowiem bomba w chwili eksplozyi zostaje rozerwana w tysiące dro-onych cząstek, zawartość jej przemienia się w gazy, których już pochwyć i zbadać nie można. Na tem też właśnie opiera się działanie bomb, że wypełnia się je substanc-ami gazów. Zdawałoby się więc, że po wybuchu bomba nie może absolutnie napro-wadzić na ślad zbrodniarza, zwłaszcza zwa-

żywszy, że jako osłony używa on zazwyczaj żelaznej rury lub starej uszki od konserw, której resztki nie mogą dać żadnej wska-zówki.

Ale nauka i w tym kierunku zatrzymo-wała nad występkami. Wprawdzie chemia miała niezwykle trudne zadanie do rozwią-zania, aby znaleźć sposób zbadania tajemnic bomb po wybuchu, jednakże udało się to w ostatnim czasie. Przekonywającym dowodem może być niezbyt dawny proces o zamach na ratusz we Friedbergu. Sprawcy zamachu na ratusz we Friedbergu. Sprawcy zamachu wystali poprzednio listy z pogroźkami do pe-wnego bankiera w Frankfurcie, a aby go na-straszyć, podrzucili bombę pod jego willę. I ta bomba mimo, że wybuchła prawidłowo, stała się ich zgubą. Zbadano najdokładniej mury willi i znaleźniono drobne cząsteczki materii wybuchowej, rzucone tam, zanim zdołały się spalić. Wzstarczyło to, aby spra-wdzić, jakim dynamitem bomba była napeł-niona, a jak wiadomo, każda z fabryk dyna-mitu wytwarza inną mieszaninę. Ta droga stwierdzono więc, że dynamit pochodził z fabryki w St. Ingbert, przez co koło poszu-kiwań bardzo się zacieśniło. Okazało się, że kradzieży, mogła się dopuścić tylko jedna osoba, aresztowano ją za tem i wykryto dzie-ki temu wszystkich sprawców zamachu.

Znacznie niebezpieczniejsze są jednak bom-by, które z jakiegoś powodu nie wybuchnęły. Nie tylko bowiem trzeba zbadać ich zawartość, aby przez to znaleźć wskazówki co do zbro-dniarza, ale trzeba przedewszystkiem uczynić je nieszkodliwymi. Zadanie to nie łatwe, by-waż bowiem bomby, które eksplodują przy najlżejszym wstrząśnięciu, lub gdy tylko zmie-ni się ich położenie poziome. Wówczas bo-wiem pewne płyny, znajdujące się wewnątrz w rurce szklanej, stykają się z innymi substanc-ami i powodują wybuch. Na bomby tego rodzaju nie pomaga też wcale środek, uważa-ny przez szeroki ogół za najskuteczniejszy, mianowicie wstawienie do naczynia z wodą. W tym wypadku obojętne jest dla działania bomby czy stoi w wodzie, czy nie.

Zatwierdzenie manipulować z bombami, opatrzo-nemi lontem. Pierwszy rodzaj jest tak niebez-pieczny, że nieraz już powodował śmierć sa-mych sprawców zamachu. To też zazwyczaj najpierw umieszczają oni bombę w pewnym miejscu, a dopiero później przez odpowiedni otwór wkładają do wnętrza rurki szklanej z cieczą zapalającą. Natomiast lonty bywają za-zwyczaj bardzo długie, aby sprawa zamachu mogła uleżeć daleko po zapaleniu lontu. Zda-rzyło się, że paliły się one aż do 3 godzin. Czasem jednak zawodzą pozory. Zbrodniarz do bomby z kruchą rurką szklaną przyczepia umyślnie lont dla pozor i dla przyspieszenia wybuchu przez niebaczną ruch odkrywców, uspokojonych odcieciem lontu. Obecnie też ba-da się wszystkie bomby z równą ostrożnością bez względu na to, czy mają lont, czy nie.

Przedewszystkiem trzeba je przewieźć poza miasto do laboratorium. Do tego celu służy specjalnie skonstruowany samochód. Z zacho-waniem wszelkich ostrożności, nie zmieniając położenia bomby, przenosi się ją do automo-bila i umieszcza w skrzyni między tylnymi kołami na t. zw. przyrządzie Cardana. Umożli-wia on utrzymanie bomby w położeniu abso-lutnie poziomem, składa się zaś z dwóch pier-ścielni, których osi stoja do siebie pod kątem prostym. Tego samego przyrządu używa się także zazwyczaj na okrętach do umieszczenia kompasu i zabezpieczenia go przez to przed wstrząśnieniami statku.

Samochód rusza teraz bardzo powoli przez ulicę miasta, wstrząśnienia jego nie oddzia-łują wcale na bombę. Jedno z największych i najdoskonalej wyposażonych laboratoriów do badania bomb znajduje się w Paryżu, a raczej pod Paryżem w Vincennes, w okolicy zupełnie puste w środku pól. Dookoła otacza je jeszcze wysoki wał ziemny, mający za zadanie paraliżowanie skutków ewentualne-go wybuchu. Sam gmach laboratoryjny jest zbu-dowany z cienkich desek, które w razie wy-buchu łamią się i rozlatują na niewielką od-ległość. Niejednokrotnie bowiem stwierdzono że kamienie, cegły i części żelazne bywają często rzucone na odległość kilku kilometrów. W dachu laboratorium są także ogromne ot-wory, których gazy mogą ewentualnie zna-leźć ujście. Obok budynku znajdują się ró-wnieź grube wały ziemne, poza którymi znaj-dują schronienie chemicy, podczas gdy we-wnątrz budynku dokonuje się otwarcie bom-by. Tutaj też jest właściwa pracownia i roz-daj muzeum, gdzie zgromadzono dawniej znalezione bomby i ich części.

W pracowni są liczne aparaty, które no-woczesna technika skonstruowała specjalnie dla tego celu. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje „tocznia“ będąca odmianą prasy hydraulicznej. Tutaj znajdują się jednak tylko urządzenia mechaniczne, sama prasa, stąd wprawiana w ruch, jest umieszczona w bu-dynku drewnianym.

Po przybyciu samochodu, przywożącogo bombę, wyjmując się groźny pocisk z przy-rządu Cardana i przenosi go bardzo ostro-żnie do budynku. Tutaj zostaje położony na prasie, którą zaraz puszcza się w ruch. Dwa duże bloki ścisną bombę i miażdżą. Liczne doświadczenia dowiodły, że zgniecenie tego rodzaju jest najbezpieczniejszym sposobem otwarcia bomby, ponieważ wszystkie jej czę-ści pozostają w zupełnym spokoju a osłona pęka najczęściej znacznie przedtem, zanim rurka szklana służąca do zapalenia, ulegnie zniszczeniu. Jeżeli zaś nawet nastąpi wtedy wybuch, działanie jego jest bardzo słabe, bo gazy mają dookoła otwarte ujście. Na blokach prasy pozostaje też tyle szczątków

że chemik może na tej podstawie dokładnie zbadać zawartość bomby.

Tak wygląda nowoczesne „laboratorium bomb“ pozostające na usługach nauki. Z tem jednem też tylko może się szerszy ogół bli-żej zapoznać. Bo wojskowe fabryki bomb strzegą zazdrośnie swych tajemnic przed nie-powołanym okiem, a pracę zbrodniarzy, fa-brykujących bomby dla występnych celów, osłania jeszcze większa tajemnica.

### Wykopaliska starsłowiańskie pod Poczdamem.

W Poczdamie, otoczonym do koła miejsco-wościami, które dotychczas zachowały brzmie-nia słowiańskie, jak np. Nowa Wieś, znalazły bawiące się pod księciem św. Ducha dzieci kilka naczyń, które wskazywały pochodzenie słowiańskie z czasów IV wieku i epoki Karo-lingów. W jednej chwili zjechała na miejsce komisya, która stwierdziła, iż we wspomnianem miejscu było uroczysko starsłowiańskie, obok zaś osady ciągnące się wzdłuż Haweli. Do-tychczas odkopano przeszło 10 urn i różnych naczyń, zachowanych bardzo dobrze. Wykopa-łkami zajęli się profesorowie: Schuchardt i Gastze: robotami około wydobywania drogo-cennych zabytków kieruje budowniczy Nig-man. — Wszyscy zgadzają się, że świeżo od-ryte wykopaliska stanowią niezrównaną zre-sztą teorety, że Berlin i jego okolice były sie-dzibą wyłącznie słowiańską. Gmina Poczdamu zbiera fundusz specjalny na roboty około wy-kopalisk i urządzenie miejscowego muzeum.

### Wdzięczność zwierząt.

Proboszcz z Goworowa (gub. łomżyńska), ks. Antoni Bryczyński podaje w „Gaz. Św.“ następujący przykład wdzięczności zwierząt:

„Gospodarz z mojej parafii, Karolak, ze wsi Rembisz, ma dwuletniego buhaja, którego sam wyhodował i wypieścił. Otóż przed paru ty-godniami, gdy Karolak był na polu sąsieda, buhaj z drugiej wsi rzucił się na niego, oba-lił na ziemię i, deptąc ramiączkami, trzy żebra mu połamał. Byłby go z pewnością zabił, ale szczęściem ujrzał to i usłyszał jęk swego pa-nu ulubionego byczek Karolaka. Bez względu na to, że stary buhaj był od niego dwa razy wię-kszy rzuca się na niego, bodzie rogami, przez to ściga na siebie złość rozwiścieconego by-ka, który porzuca Karolaka, a zwraca rogi prze-ciwni do nowego nieprzyjacielowi. W tem nad-biega pies Karolaka i zaczyna gryźć buhaja. I w ten sposób obydwaj te poczciwe zwierzęta od niechybnej śmierci dobrego pana swojego ocaliły. bo dączy czas ludziedo do przybycia z pomocą.

### Zjadacze wątrób ludzkich.

P. Matignon, członek akademii umiejęt-ności w Paryżu, który czas jakiś przebywał w Chinach i napisał kilka rozpraw, dotyczących życia i kultury Chińczyków, twierdzi, że zwyczaj wycinania i zjadania wątrób ludz-kich jest od dawna w Chinach praktykowany. Wśród ciemnych mas Chińczyków istnieje przesąd, że konsumowanie wątroby tracone-go nieprzyjaciela, jest zabezpieczeniem od wielu chorób.

W 1895 roku w Pekinie stracono ważnego przestępcę, kat zaś wyciętą nieboszczykowi wątróbę i sprzedał ją aptekarzowi za wyso-ką cenę. Ten porozlepieł plakaty, że jest po-siadaczem wątrób ludzkich i żółci straconego Gromady więc chcący nabyć za duże pienią-dze ten niebywały i drogocenny specyfik, tłumem szły do aptekarza. Niedawno w je-dnem z południowych miast Chin, kat stra-cił kilkanaście osób, wyjął wątroby i sprze-dawał je. Nabywcy natychmiast zjadali małe kawałki wątroby ze straceniów.

Przed dwoma laty Chińczycy napadli na oddział francuskiej legii cudzoziemskiej i za-mordowali oficera. Trupa jego znaleziono po-ówartowanego z wyjątą wątróbą. Jak się później okazało, zjedł ją oficer chiński z żo-łnieriami. Podobny wypadek zdarzył się w innej prowincji chińskiej.

### Co to jest miliard.

Większość ludzi niema wyobrażenia o tem co to jest miliard — z tego też powodu wskazane jest następujące wyjaśnienie:

Miliard marek niemieckich w złocie waży 333,580 kilogram. a można by nim zapelnic ko-stkę, której każda z sześciu płaszczyzn mie-rzy 17 metrów kwadratowych.

Gdyby z tej masy wycięgnięto drut, mo-żnaby nim opasać całą ziemię. Miliard w srebro waży już pięć milionów kilogr. ko-stka musiałaby już w tym wypadku posia-dać płaszczyzny o wielkości 477 m. kw.

Aby przetransportować miliard w złocie potrzeba 64 wagonów, które musiałby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów.

Miliard w srebro wymaga już 1000 wa-gonów po 5 ton, zajęłyby one 6 kilom. toru.

Gdyby jeden miliard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby było 6,000 ludzi, a 3,000 ludzi musiałoby miliard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogr. Do miliarda w srebro potrzeba już 500,000 lu-dzi. Gdy się miliard złotem monetami ułoży jedną obok drugiej, otrzyma się długość 1,050 kilom. a gdy się monety złoży jedna na drugiej, otrzymamy kolumnę wysokości 33,000 metrów.

### Straszna tragedia

rozegrała się w mieszkaniu b. szefa sekcji Holzknechta w Wiedniu.

Dwadziesięcioletni praktykant sądowy dr. Matkovic był od 7 lat nauczycielem domo-wym u pp. Holzknechtów i starał się o rękę ich córki 25 letniej Maryi. Dostawczy odkosza postanowił się zemścić. W nieobecności rodzi-ców, wszedł tylnymi drzwiami do mieszkania i zastawszy w pokoju ucznia swego, 17-letnie-go Jerzego Holzknechta, którego przygotowy-wał do matury, celnym strzałem rewolwe-rym położył go na miejscu trupem. Na od-głos strzałów wpadli do pokoju rodzinstwo, 21 letni Robert i Marya. Matkovic strzelił do Maryi i zastrzelił ją na miejscu, poczem 3 strzałami zranił śmiertelnie Roberta.

Następnie mordca celnym strzałem sam się pozabił w jader.

Robert Holzknecht zmarł w godzinie po za-machu, wskutek odniesionych ran.

### Zdziczenie młodzieży niemieckiej.

Gimnazjalista, nazwiskiem Koch, w Magde-burgu, w Niemczech usiłował zastrzelić pro-fesora języka francuskiego, ponieważ czuł się przez niego pokrzywdzonym. Z okazji tego zajścia, dyrektor gimnazjalny Schneider, ogło-sił w pismach sensacyjne odkrycie o walce, jaką w wielu zakładach niemieckich toczy młodzież przeciwko swym nauczycielom. P. Schneider podaje przytem szczegóły prawie nie do uwierzenia, odstaniając straszne popro-sie dziczenie, wśród młodego pokolenia nie-mieckiego.

Między innymi autor opowiada, że przed kilku laty w pewnym gimnazjum w środko-wych Niemczech odkryto tajny związek mię-dzy uczniami niższych klas, który powiasty so-bie za cel zastrzezenie dyrektora gimnazjum. Był to najformalniejszy spisek — wykonawcą zamachu miało losem wyznaczyc. Autor jest przekonany, że zamach przyszedłby do skutku, gdyby w sam czas nie wpadnięto na trop tego sprysiężenia uczniowskiego. Władza szkolna ze względu na rodziny uczniów, wpłatających w tę historię, całą sprawę pokryła milcze-niem.

W Halli przed pięciu, czy sześciu laty uc-zniowie pewnego gimnazjum ofiarowali res-tauratorowi 300 mk., żeby pozwolił im dołać „wódki“ do piwa, przeznaczzonego dla nauczy-cicla matematyki. Restaurator doniósł o tem nauczycielowi i przy zbadaniu owego piwa przekonano się, że rzekoma wódka była sil-nym rocznym arsenikiem.

W takich barwach maluje stosunki wśród niemieckiej młodzieży gimnazjalnej autor, któ-ry sam siebie nazywa „starym praktykiem szkolnym.“

### Olbrymia kradzież.

Z pociągu kolejowego w drodze z Paryża do Marsylii skradziono w drodze między Pa-ryżem a Macon przesyłki pieniężne i warte-ściowe wartości kilku milionów franków i oko-ło 120 listów, przeznaczonych dla Indyi. Za-brano jedynie worki pocztowe, przedstawiają-ce wielką wartość i w sposób odpowiedni zna-czone. Worek z dokumentami dyplomatyczny-mi dla ambasadora francuskiego w Konstany-nopolu zostawiono, natomiast zabrano wielką przesyłkę pieniężną dla komendanta Mar-sylii, oraz bardzo liczne cenne przedmioty, wyslane do Indyi z powodu uroczyściwości ko-ronacyjnych, oraz przesyłki bankowe. Zlo-czyńcy prawdopodobnie dostali się z zewnątrz do pociągu, gdy znajdował się w biegu i opu-ścili go, zanim dojechał do stacyi Macon.

## Odezwa!

Podpisane połączone Towarzystwa Polskie w Kurtybie zapraszają wszystkich Rodaków na wiec ogólny polski, który się odbędzie w niedzielę dnia 24 go Grudnia b. m. o godzinie 2 giej po południu w sali Tow. Kościuszki.

- Na porządku dziennym będzie:
- 1) Nabycie na własność ogólną polską pla-cu związkowego i budowa „Domu Polskiego“
  - 2) Utworzenie samostniej partyi politycznej polskiej w Paranie.
  - 3) Załączenie wyższej szkoły ludowej pol-skiej w Kurtybie.

Tow. „Tad. Kościuszki“  
Prezes J. Pasielko.  
Sekretarz F. M. Tarantowicz.

Towarzystwo „Sokół“  
Sekretarz F. M. Tarantowicz.

Tow. „Świętgo Stanisława“  
Prezes Jan Faucez.

Tow. „Łączność i Zgoda“  
Prezes Jan Faucez.

Tow. „Kółko Młodzieży Polskiej“  
Zast. Prezesa W. Kęsikowski.

**KALENDARZE**  
„Maryańskie“ i „Katolik“  
na rok Pański 1912  
już nadeszły i są do nabycia w drukarni i księ-garni CEZARA SCHULCA, rua Barao do Ser-ro Azul, — Curityba, Parana.

# SZARAŃCZA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Artura Gruszeckiego.

TOM I.

ROZDZIAŁ I.

— Waserpolaki idą!

Zawołał wesółym, dzieciennym głosem Fryc Mejer, zwracając się do swych kolegów, uczniów klas niższych, wychodzących tłumnie ze szkoły.

Ulicą szeroką, wysadzaną kasztanami, wiodącą do dworca kolei, szli Szlacy. Trzy kobiety z tobołkami w ręku, jedna z niemowlęciem, w spódnicach suto fałdowanych, krótkich kaftaniczkach, w chustkach małych na głowie, przyspieszyły kroku, słysząc z nawoływanie niemieckie. Starzec z chłopięciem, lat może czterem, z trudnością zdążył z nimi, gdyż nogi, ubrane w buty wysokie, nie chciały go słuchać.

Uczniowie, słysząc wezwanie i widząc idących, zachichotali wesóło, ten i ów podrzucił w górę związane książki, a ze wszystkich stron rozległy się okrzyki:

— Waserpolaki! Waserpolaki!

— Jacy śmieszni!

— Ten stary lezie, jak niedźwiedź!

— A młody skacze, jak pudel!

— Chodźmy bliżej!

I gromadka jakich czterdziestu pogoniła za idącymi. Jeden z chłopców, przypominawszy sobie nazwanie młodego Szlaka pudlem, zbliżył się, gwizdnął, jak ua psa, wołając:

— Pójdź tu do nogi!

Oni, śmiejąc się, powtarzali te słowa a gdy Szlak, nie zwracając uwagi, szedł dalej, śmielszy chłopak podbiegł i pociągnął go za rękaw, mówiąc:

— Pójdź, pan cię woła!

Oburzony i zagniewany Szlak szarpnął ręką i rzekł:

— Odczep się, ty, szwabie.

Ta obrona rozśmieszyła chłopców; zaczęli szarpać małego. Stary, może lat sześćdziesięciu, Szlak spojrział poważnie na rozbawionych chłopców i odezwał się spokojnie:

— Odstąpcie, chłopcy, Idźcie do domu!

— Ho, ho, zamruczał niedźwiedź!

I coraz śmielej, coraz ostrzej nacierali, szarpali za ubranie, za tobołki, podbiegali do kobiet, ze śmiechem gwizdem chałasam. Młody Szlak, drażniony, odwrócił się i uderzył jednego z napastników. Rozpoczęła się bójka.

Kobiety, widząc przemagające siły chłopaków, wzięły młodego między siebie. Ta obrona rozjątrzyła młodych Niemców. Zaczęły latać kulki papierowe, książki, a kiedy niekiedy zafurczał kamień.

Ulica była prawie pusta, czasem boczny chodnikiem przebiegał Niemiec, a widząc zabawę i wesołość młodzieży, uśmiechnął się zadowolony, mrużąc:

— No, no, ci bawia się wesoło!

I kobiety uśmiechały się z wyrozumiałością, patrząc na ten wybrk dziecienny. W oknach kamienic zjawiały się twarze, śledzące ciekawie ten niezwykle gwar uliczny. Również z balkoniku parterowego mężczyzna młody, z blond zarostem, zwracając uwagę żony, mówił:

— Patrz, Maryo, co chłopcy dokazują!

Wezwana zwróciła swe ciemno-piwe oczy we wskazanym kierunku, błada jej twarz lekko się zarumieniła i odezwała się tonem współczucia:

— Biedni ludzie!.. Widzisz, omal że kobieta nie upadła. Niedobre dzieci! A teraz szarpia starego!

Istotnie chłopcy, rozochoceni i podnieceni zabawą, rozzuchwaleni biernością oporu i bezkarnością dokuczania pogardzanym Szlakom, posuwali się do działań coraz bardziej zaczepnych. Oburzony stary Szlak podniósł kij i uderzył najbliższego, ale inni tak silnie potrątili go z boku, że zachwiał się i runął na ziemię, uderzając głową o wystający kanień.

Chłopcy, ucieszeni swym zwycięstwem krzyknęli: „Hurra“ Równocześnie rozległ się płacz i narzekanie Szlaczek, króre zbliżyły się do leżącego i starały się go podnieść.

Napróżno jednak, omdlały nie dawał znaku życia. Przestraszeni następstwem swej swawoli chłopcy umilkli i skupili się patrząc na leżące ciało.

W tej chwili zbliżył się szybkim krokiem młody mężczyzna z balkoniku parterowego, zarumieniony z oburzenia, roziskrzonym wzrokiem zmierzył uczniów i krzyknął groźnie:

— Precz, łobuzy, ulicznicy! jutro ukarze was dyrektor, już ja mu powiem.

Chłopcy, w milczeniu, chyłkiem rozbiegli się po ulicy, dążąc w stronę domów.

Młody człowiek stanął nad omdlałym czy zabitym, z którego skroni rozciętej spływała kroplami krew, ścinając się w ciemne skrzepy na białych włosach. Ohwilę stał bezradny oglądając się wokół za dorożką lub policjantem. Ale ulica w tej obiadowej porze, w południowym słońcu dnia majowego była pusta i cicha. Spojrzał na płaczące i przestraszone Szlaczki, na chłopaka kłęczącego przy leżącym i rzekł tonem pocieszenia:

— Zemdał tylko, nic mu nie będzie.

Kobiety uderzyły w płacz głośniejszy, a rozbudzone niemowlę krzykiem domagało się pokarmu.

— Przynieś wody — rozkazał chłopcu, wskazując na oddaloną studnię.

Szybko wyjęto z tobołka garnuszek kamienny i chłopak pobiegł.

Zanim wrócił z wodą, przyszła służąca od młodego pana i, podając zwitek rzekła:

— Pani przysłała bandaże. Czy mogę co pomódz? — dodała, patrząc ze współczuciem na leżącego i gromadkę kobiet.

Zagadnięty wziął w rękę zwitek, zaniepokojony spojrzął na leżącego, poprawiając nerwowym ruchem binokle i mówił zwolna, wahał się:

— Zaczekaj, Teklio, może się przydasz.

Służąca zwróciła się teraz do Szlaczek, pytając co i jak się stało. Te, z obawy, by młody pan nie obraził się, mówiły ostrożnie i z zastrzeżeniami, poczytując go za Niemca.

— Z pielgrzymki wracamy do Świdnicy i bez naszej winy napadli nas chłopcy, zaczęli wyzywać, szarpać i potrącać starego.

Nadbiegł chłopak z wodą, rozmowa się urwała. Gdy pierwszy prąd wody padł na głowę, leżący drgnął, ale oczu nie otworzył. Nacieranie skroni, piersi, łanie wody na skaleczone miejsce nie wracało mu przytomności.

— Biedne my, biedne! — zawodziły z cicha kobiety. — Tak mu tu i zamrzeć przyjdzie.

Młody pan stał niezdecydowany, patrzył na leżącego, na płaczące Szlaczki, spojrzął na małą grupę ludzi, która z ciekawością przyglądała się z chodnika całej scenie i przemówił do dwóch mężczyzn, stojących na przedzie:

— Co tu robić? Przecież tak nie można go zostawić na łaskę losu.

— Ee, co tam! odparł jeden z nich, niemłody, elegancko ubrany. — Nadjedźcie dorożka i zawieźcie go do szpitala lub na posterunek policji.

— Przynajmniej pomóżcie mi panowie przenieść go do mego mieszkania.

— Nie jestem od czyszczenia miasta — rzekł jeden, śmiejąc się dobroduszenie ze swego dowcipu. — Płacę na to podatki.

— Przecież to człowiek! — zawołał młodzieniec podniesionym głosem.

— Ee, taki Szlak — mruknął pogardliwie pierwszy i poszedł dalej.

Rozmowę tę, prowadzoną w niemieckim języku, rozumiała doskonale Tekla i zwracając się do pana, rzekła:

— Wezmę go na ręce; taki stary, chudy, łatwo z nim poradzę. Odstąpię mu moje łóżko w kuchni.

I, nie czekając pozwolenia, wzięła go jak się bierze dziecko, głowę oparła o ramię, a druga Szlaczka podtrzymawała nogi omdlałego.

Wśród słów politowania zgromadzonej publiczności:

— Biedny człowiek!

— Dobre kobiety!

— To nieszczęście!

Orszak posuwał się naprzód do mieszkania młodego pana, idącego na czele, który, spostrzegłszy żonę na balkoniku parterowym, zawołał:

— Maryo! Przygotuj łóżko Tekli dla chorego.

Z bramy domu wychodził właśnie gospodarz, tłusty, czystuśko ubrany mężczyzna i bawiąc się brelokami od zegarka, spojrzął zdumiony na Szlaczki, na swego lokatora i zatrzymując go, spytał:

— A to co nowego?

— Człowiek ten zemdał na ulicy, trzeba mu pomódz.

— Na to jest szpital, a nie mój dom.

— Mój panie — odparł oburzony lokator — ja płacę za mieszkanie i wolno mi w niem robić, co mi się podoba.

— Tak, tak, wolno wszystko w granicach policyjnych, ale zabraniam zanieczyszczania domu mego Szlakami; go-tów umrzeć i będę miał kłopot.

Mówiąc to, stanął tak we drzwiach domu, że Tekla z chorem precyzyjnie się nie mogła.

— Wszelkie następstwa biorę na siebie — zawołał zirytowany lokator — a teraz ustąp pan, bo podam skargę na pana.

Wzmianka o skardze poskromiła energię Niemca i ze słowami:

— No, no, panie Krempa, zobaczymy koniec tej sprawy — zostawił wolne przejście.

Chorego złożono na czystuśkim łóżku w kuchni, a pan Henryk Krempa, zwracając się do Szlaczek zaplakanych stojących na środku kuchni w kupce rzekł:

— Wy idźcie na dworzec kolejowy i zczekajcie tam; dam wam wiadomość. Ty, Teklo, bęgnij po lekarza.

Pani Marya, zaniepokojona i przestraszona niezwykłym wypadkiem, po wyjściu Szlaczek odezwała się do męża:

— Czy on już umarł?

— Nie. Serce bije, ale słabo — odpowiedział, dotykając dłoni okolicy serca. — Podaj octu.

Po krótkiej chwili weszła, a tuż za nią trzymając się sukni, wbiegł mały, pięcioletni chłopczyk i patrzył wielkimi, oczkami na omdlałego.

Po natarciu octem chory otworzył oczy, spojrzął po obecnych i słabym, przerażonym głosem zapytał:

— Gdzie ja jestem? Co się stało?

— Uspokójcie się — mówił łagodnym tonem pan Krempa. — Jesteście u dobrych ludzi.

— A gdzie nasi?

— Poszli na kolej, zczekają na was.

— Słabo mi — jęknął i powtórnie zemdał.

Chłopczyk szarpnął suknią i spytał:

— Mamo! Czy to śmierć?

— Wyprowadź dziecko, jeszcze się przestraszy — rzekł mąż.

— Nie spostrzegłam, że on jest tu — odpowiedziała, wchodząc do pokoju.

Pan Krempa, nacierając octem skronie i piersi zemdlonego, zastanawiał się nad wypadkiem.

— Że odpedziłem chłopców, dobrze zropiłem, że poratowałem, dobrze; ale po co brałem go do domu? Byłaby go zapewne wzięta dorożka, zawiozła do szpitala, a tak tutaj mam kopot z chorem, z gospodarzem, z lekarzem, spóźnię się do biura — i po co? na co mi to wszystko?

Gwałtownie otworzyły się drzwi od sieni do kuchni, wbiegła Tekla zarumieniona ze zmęczenia i, głęboko oddychając, mówiła:

— Proszę pana, byłam u dwóch lekarzy i nie zastałam. Dokąd mam iść?

Na odgłos rozmowy weszła pani Marya i, słysząc relację służącej, spojrzła zakłopotana na męża. Ten nachmurzył się i rzekł:

— Zostawię was na chwilę, wezmę dorożkę i sprowadzę lekarza.

W kuchni zostały dwie kobiety, przeżone nieruchomością leżącego człowieka.

Ostre światło dnia, odbite od złotych murów zabudowanego podwórza, wpadało przez wielkie okno do kuchni. Błyszczało w naczyniach niezmytych po obiedzie, odbijało się od licznych obrazów świętych, zawieszonych nad łóżkiem i oświetlało ostro wyraźnie twarz leżącego, zabarwiając ją silniej żółtawym kolorem.

Pochwili ocknął się zemdlony i szepnął:

— Wody!

Podala mu ją pośpiesznie Tekla. Pił dugo, odetchnął głęboko i usiadł na łóżku,

— Trochę mnie mroczy, ale już przechodzi, zdrow jestem.

Usiłował powstać, ale siły go zawiodły i, gdyby nie Tekla, byłby upadł.

— Połóżcie się, albo usiądźcie wygodnie — odezwała się pani Marya — odpocznijcie. Chwała Bogu, że już przeszło!

Stary spojrzął na mówiącą wyblakłymi, niebieskimi oczyma i rzekł:

— To mi dziwno, że pani mówi po naszemu.

— Bom tu urodzona, to znam język szlaski. A wy ojcze z daleka?

— Ze Swidnicy, pół mili za miastem, pewno znacie?

Pani Marya uśmiechnęła się i już miała odpowiedzieć, gdy drzwi, wiodące do pokoju, otworzyły się i wejrzało dziecko.

— Możesz wejść, Adalbercie — odezwała się matka po niemiecku.

Dziecko, patrząc ciekawie na obcego człowieka, tuliło się do sukni matki, która, zwracając się do siedzącego, kończyła przerwana rozmowę.

— O znam dobrze Swidnicę. Co porabia Jan Szymiczek?

— Ten sprzedał krewniakowi całe obejście, grunt i wyniósł się do miasta.

— Tu? — spytała zdziwiona.

— Tak jest. Zakupił się tutaj, ma ładny domek na przedmieściu, i dziś mieliśmy się spotkać na kolei, bo to mój przyjaciel, a zkąd zna go pani?

— To mój wuj odparła, rumieniąc się wbrew woli.

Wuj?... Toż pani chyba Chromikówna, bo jedną miał siostrę za Chromikiem?

— Tak jest — szepnęła pani Marya i spojrziała na służącą.

Tekla z talerzem w jednej ręce, a ścierką w drugiej, stała nieruchoma, zasłuchana w rozmowie, nie odwracając oczu zdziwionych od swego pani, która dotychczas w jej mniemaniu uchodziła za czystą Niemkę, rozumiejącą cokolwiek po szlasku. Spojrzenie pani podchwyciła służąca i wycierając talerz, zawołała:

— To pani z naszych? Dziwno mi, że nic nie wiedziałam.

— Wychowałam się w mieście i czuję się Niemką — odezwała się pani Marya surowym tonem.

Stary spojrzął z ukosa na panią, potem na służącą i rzekł tonem spokojnym:

— Hm, u nas tak zawsze, co który pójdzie w górę, zaraz Niemiec z niego.

W tem otwarły się drzwi i wszedł pan Krempa z lekarzem. Ten obejrzawszy chorego, obwiał mu głowę i nakazał spoczynek półgodzinny.

Zaprozony przez panią wstąpił lekarz do ich mieszkania Mały stolik, obity tapetami w niebieskawe kwiaty, posiadał meble szablonowe, spotykane po hotelach, restauracjach, pokojach meblowanych, nic nie mówiące, nic nie charakteryzujące, bez stylu, bez upodobania indywidualnych, pokryte niebieskim utrechtem Na ścianach wisiały nieodzwonne oleodruki scen wioski górskiej ze skalami złotymi i orłem, wazącym się w powietrzu nad łatwą zdobyczą u brzegu skały. Jedną tylko cechę, niemal etnograficzną, posiadał salonik i inne pokoje, to tę zewnętrzną czystość to wydmuchanie z każdego pyłu i proszku.

Lekarz, rozsiadłszy się wygodnie na foteliku, zapalił cygare i, zwracając się do pani, mówił spokojnie:

— Opowiadanie męża pani narazie mnie zaniepokoiło: obawiałem się pęknięcia czaszki, ale to tylko stłuczenie,

— Jednak sam pan doktor mówi, że upadek mógł być niebezpieczny.

— Hm, widzi pani, gdyby kto komu z nas się przytrafiło, byłbym zaniepokojony, ale ci Szlacy mają twarde życie.

— W każdym razie w jutrzejszej „Ostmark napisz artykuł o swawoli chłopaków i tej dzikiej pasy przesławiania

slabych i niewinnych — rzekł pan Krem-  
pa, rozpierając się w krześle.

— Uczniowie zasługują istotnie na skar-  
cenie. Dobrze, że to trafiło się Szlązakom,  
tym nigdzie nie zaskodzi nauka, ale gdy-  
by to komu z naszych? — kończył lekarz z  
powagą doktorską.

— Napiszę też ostro, bo cały jestem  
wzburzony.

— Tylko ostrożnie o Szlązakach, bo  
artykuł zrobi złe wrażenie. Tak ogólnie,  
ze względu na moralność młodzieży, mo-  
żnaby napisać.

— Gdy napiszę, co czuję, artykuł bę-  
dzie silny i musi zrobić wrażenie.

— Jako przyjaciel domu ostrzegam  
jeszcze raz: ostrożnie ze szlaskimi ide-  
ałami. Sam redaktor Sternweg nie byłby  
zadowolony.

— Chyba swobodę mych przekonañ,  
jako główny współpracownik, posiadam  
zawsze — oburzył się pan Krempa, pro-  
stując się.

— Przekonania? Uważa pan, to rzecz  
względna; zależy od polityki. A z ką-  
d ci Szlązacy? — zwrócił się do pani.

— Mówił mi stary, że pochodzą ze  
Schweinitz, po szlasku Świdnicy — odpo-  
wiedziała.

— Znam tę wieś; tam prawie połowa  
naszych — mówił lekarz, paląc swobo-  
dnie cygare.

Bystre, czarne oczy zwracał często na  
gospodarza, obserwując go i widać by  
zaśadowy, gdyż, gładząc swą czarną bro-  
dę, rzekł tonem perswazyi:

— Panie Krempa, posłuchaj pan mo-  
jej życzliwej rady; szanuję pana jako przy-  
jaciela i jako współredaktora naszego „Ost-  
mark”. Niech pan będzie ostrożny ze swe-  
mi sympatjami szlaskimi. To naród prze-  
znaczony na zgubę; nic i nikt ich nie u-  
ratuje, więc ostrożnie.

— Czyż pan, doktorze, myślisz, że ja  
z żoną jesteśmy Szlązacy? Ani nam się  
śnił Tylko w obronie ludzkich uczuć wy-  
stąpić chcę i wystąpię.

— A, tak to co innego! Ludzkość,  
widzi pan, to dorobek cywilizacyjny i u-  
szanować ją zawsze trzeba i należy. Co  
innego naprzykład sprawa szlaska; to tyl-  
ko drobnośćka wewnętrznego niedomagania,  
zabytek barbarzyństwa, który prędzej  
czy później, musi uleść zagładzie, a im  
prędzej, tem lepiej dla nich i dla nas, gdyż  
będziemy mieli wolne ręce i czas, by za-  
jąc się zagadnieniami ludzkości całej.

— Ach, panie doktorze! Jak pan to  
ładnie powiedział! ale za zawsze żal mi tych  
biednych Szlązaków: oni są tak namię-  
tnie przywiązani do swego języka i swych  
wierzeń — mówiła pani Marya, rumieniąc  
się pod badawczym spojrzeniem lekarza.

— W tych słowach jest jednak tro-  
chę przesady — dodał mąż — o namię-  
tności tu i mowy niema, a ich przywią-  
zanie do języka topnieje, jak śnieg na słoń-  
cu, pod promieniami cywilizacji.

— Może masz i słuszność, chociaż,  
chociaż... — i spuściła oczy, unikła trochę  
zmieszana, gdyż nie chciała się zwierzyć,  
że nawet ona ulega chwilami urokowi tej  
rozdzielnej mowy.

Lekarz wstał i, biorąc kapelusz, rzekł  
do pana Krempe:

— Zater: jutro w „Ostmark” zoba-  
czy artykuł piorunujący.

— Jutro, doktorze, a proszę zwrócić  
uwagę na wywołane wrażenie — kończył  
pan Krempa, podając rękę na pożegna-  
nie.

Zdaje się, że tylko wyjścia lekarza  
czekała Tekla, gdyż zaledwie zamknęły się  
drzwi za odchodzącym, weszła do poko-  
ju, mówiąc:

— Stary chciałby podziękować panu i  
pójść na kolej.

— Dojdzie on sam?

— Prosiłabym o pozwolenie odprowa-  
dzenia go na kolej.

— Dobrze. Niechże stary tu wejdzie.  
Po chwili wszedł wezwany. Pochylony  
latami, z twarzą wygoloną, z siwymi włosa-  
mi, z przepaską na skróni, wszedł i stanął  
u progu.

— Lepiej wam? — spytał pan Krempa,  
siedząc na sofce w jadalnym pokoju.

— Chwała Najwyższemu i dzięki wam,  
moi państwo, już mi lżej i przyszedłem na  
podziękowanie.

— Wystarczy nam, żeście zdrowi —  
dorzuciła pani.

— To nie o zdrowie chodzi — przemówił,  
prostując się — dzięki wam składam.  
Tobie, panie, za opiekę, a tobie pani, za

dobre nasze słowo, które mi było lekar-  
stwem.

Pan Krempa spojrzal zdumiony jego  
mową i rzekł z uśmiechem niedowierzania:

— Mój stary, alboż to mało ludzi mó-  
wi do was?

— Mówić, to mówią — odparł zwol-  
na — ale jak? Szargoczą po obcemu, a  
oni może myślą, że taka mowa przy-  
jemna? Każde zwierzę, każdy ptak ma  
swoją mowę i w niej się lubuje. Komar  
do komara, słowik do słowika, wilk do  
wilka gada po zwojemu; tylko nam nie  
wolno mówić, jak Bóg nakazał. To też  
pani dziękuję, że przemówiła do-  
brem słowem i to mnie wzmogło na siłach.

— Tak lubicie wasz język?

— Spytał się pan ryby, czy lubi wo-  
dę; ptaka, czy powietrze; wilka czy knie-  
ję leśną. Toż to nasze jedyne dziedzi-  
ctwo, nasza własność, nasz skarb!

— Chyba wy jeden taki! — zawołał,  
zdziwiony.

— Jeden? Spytał się pan na wsi,  
ale nie przy Niemcach, tylko w chacie,  
przy kominie przy wieczornicy, a same  
ściany powiedzą o naszym języku, tak  
głośno, że i głuchy posłyszysz.

— Oryginalny ten stary! — rzekł  
Krempa po niemiecku do żony.

— Zdaje mi się, że on mówi prawdę  
— odrzekła cicho.

Tak zostanie z Bogiem — prze-  
mówił starzec — już na mnie czas.  
Dziękuję wam za dobre słowo, za dobry  
uczynek. Niech Bóg wam nagrodzi sto-  
krotnie!

— Szczęśliwej drogi Bóg z wami —  
odrzekli oboje.

Chwilę milczeli, wtem odezwał się  
dźwięczny głos dziecka.

— Biedny staruszek!

— Dlaczego, mój synku? — spytała  
matka rozjaśniona.

— Boli go główka. Niedobre chłopaki  
gonili go i pokaleczyli.

— Pamiętajże, Adalbercie, byś nigdy  
nie robił innemu krzywdy — rzekł oj-  
ciec, porozumiewając się z żoną wzro-  
kiem zachwytu nad rozumem dziecka.

Nigdy nie będę takim! — zawoła-  
ło dziecko i zwracając się do matki spy-  
tało: — A gdzie moje konie?

Po odszukaniu koni, dziecko bawilo  
się na balkoniku, a matka, dumna z sy-  
na, rzekła do męża:

— Jaki ten nasz Adalbert wrażliwy  
na każdą niesprawiedliwość; to odzie-  
dziczyl po tobie, mój Henryku, bo czyż  
inny pomógłby tym biedakom?

— To twoja zasługa, moja najmilsza,  
Tyś go wychowała i powstawszy, cał-  
kował żonę, tuląc ją do siebie.

W niebieskich jego oczach malowało  
się szczere rozczulenie i miłość do żony,  
która, rozkochana i zachwycona męż-  
em i synem, płaciła sowskie uściskami  
i pocałunkami.

Gdy minął pierwszy zapal, odezwa-  
ła się żona:

— Wiesz, Henryku, mój wuj Szymi-  
czek kupił dom na przedmieściu.

— Kto ci mówił?

— Ten stary Szlązak, opowiadał na-  
wet, że dziś na kolej miał się z nim  
spotkać.

Czy chcesz go odwiedzić? — zapy-  
tał zapalając cygare.

— I chcę i nie chcę — mówiła z pe-  
wnem wahaniem. — Chcę bo to mój wuj  
brat mojej matki, a znów nie chcę, bo  
w naszych stosunkach i wśród naszych  
znajomych wyglądałby dziwnie trochę.  
Zapewno mówi źle po niemiecku, a już  
dla twojego tylko stanowiska nie wypada,  
by taki Szlązak bywał u nas.

— Zapewne, zapewne — odparł wy-  
mijająco. — Jakkolwiek należąc do re-  
dakcji „Ostmark” nie sprzedałem siebie  
całego i drażnią mnie słowa lekarza,  
ciągle ostrzeżenia, zastawki, ukryte gro-  
źby. Ostatecznie i ci Szlązacysą ludźmi  
i czują po ludzku. Wystarczy przykład  
tego starca; on miał coś z ascety, coś z  
biblijnej prostoty.

Żona słuchała go ze skupioną uwagą  
i pobladła trochę ze wzruszenia mówiła:  
Jeśli mam ci wyznać szczerą prawdę,  
ta nagonka na Szlązaków jest mi rów-  
nież nieprzyjemna; coś mnie boli, a nawet  
oburza w tem wszystkim. Z drugiej strony  
całe nasze utrzymanie zawdzięczamy  
„Ostmark” więc radzę ci ostrożność.

(Ciąg dalszy nastąpi)

## ZIEMIE POLSKIE

Zabór rosyjski.

—  
Żonobójstwo.

We wsi Błotkie Budy, gm. Izbica, w pow.  
Kolskim, w mieszkaniu Łukasza Marcza-  
ka rozebrała się ohydna zbrodnia. Marczak ożeniwszy  
się przed pół rokiem, żył z żoną bardzo źle, —  
wskutek czego postanowił ją w tych dniach zga-  
dzić ze świata. Oto pewnego pięknego poranku  
zamknął ją w komorze, w której przebyła 3 dni  
o głodzie. M., po upływie tego czasu, zarzął do  
komórki i zobaczywszy, że żona jego jeszcze  
żyje, wyprowadził ją stamtąd i postanowił użyć  
innego sposobu. Położył więc ją na łożku, przy-  
krył różnymi galanami i zaczął kolanami gniość  
piersi, poczem ścisnąwszy za gardło, uduł. Prze-  
konawszy się, że żona tym razem rzeczywiście  
nie żyje, pobiegł do soltysa i zawiadomił go, że  
żona jego powiesiła się. Przybył soltys zawi-  
adomił władze, które orzekły, że Marczakowa jest  
zamordowana. Podejrzanie padło na Marczaka,  
którego też aresztowano. jak również jego służ-  
ącą i przyjaciół.

Zbrodnia.

Z Częstochowy donoszą: Dn. 15 z. m. o godz.  
3 po południu do właściciela domu Nr. 61 przy  
ul. Ogrodowej, p. Antoniego Glińskiego zgłosił  
się jakiś Tatar i zapytał, czy nie widział zamie-  
szkanego w jego domu Tatars, Mohameda Din  
Sijanowa, gdyż już od trzech dni nie o nim ko-  
leży nie wiadza. P. Gliński zdziwił się tem  
zapytaniem, gdyż we wtorek rano widział Sijanowa  
na podwórzu, więc też udał się do jego miesz-  
kania. Drzwi mieszkania były zamknięte, otwór  
do klucza zastoiny. W oknie wisił do po-  
łowy zaslonka. Przybył Tatar wdrapał się po mu-  
rze na okno i oświadczył, że Sijanow leży na  
łożku zarżnięty.

Zawiadomiono policję. Po otwarciu się  
drzwi, które były zamknięte na zatrzaśki, przed-  
stawił się przybyłym okropny widok. Całe mie-  
szkanie zbryzgane obficie krwią, rzeczy i towary  
lokalowe, klóre mi Sijanow handlował, były roz-  
rzucone, a on sam leżał w ubraniu na łożku z  
poderżniętem gardłem.

Podczas dalszych oględzin stwierdzono, że  
Sijanow, liczący 42 lata był zbudowany dobrze,  
wyoki, silny. Przed Śmiercią musiał on stoczyć  
ze zbrodniarzami straszną walkę, gdyż w mie-  
szkaniu nie było kąta, gdzieby nie było krwi.  
Ugodzony siekierą, czy innym narzędziem w tył  
głowy widocznie jeszcze się bronil, a wtedy zbro-  
dniarze powalili go na łożko i nożem przerżęli  
mu grdło. Widocznie jednak zabójcy bali się,  
aby swej ofiary nie zostawili żywą, dla pewno-  
ści więc uderzono go w gardło siekierą, tak, że  
głowa została zaledwie na skórze.

Sijanow uchodził za człowieka bogatego, mie-  
szkał w Częstochowie od lat 15, rodzinę swoją  
miał w Rosji Kosztowności lub pieniędzy nie  
znaleziono żadnych, woreczek leżał opróżniony,  
co świadczy, że mord został dokonany w celu  
rabunku.

W domu przy ul. Ogrodowej Nr. 69 mies-  
kało 9-ju jego towarzyszy, Tatarów, z których  
aresztowano 7-ju.

o język polski.

Czy na ulicach Warszawy będziemy po 20  
latach słyszeć język polski? Takie pytanie za-  
trudniło jednego z korespondentów „N. Ref.”  
Dochozi on do wniosku, że w Warszawie nie  
grozi zupełnie rusefikacja, bo według „Warsz.  
Dziennika” z września 1909 r. ludność War-  
szawy w obrębie rogatk wynosiła 764,46 r.  
osób, z czego na Rosyan przydałoby zaledwie  
30,394 osób, a na żydów 181,734 osób, a zatem  
niebezpieczeństwo zalewu Warszawy przez żywioł  
rosyjski nie jest tak groźne. Groźniejszą bez-  
wątienia jest ogromna liczba żydów, wzmno-  
na jeszcze w ciągu ostatnich lat przez napływ  
tzw. Litwaków i tu jednak możemy znaleźć  
 pewne powody do optymizmu. Oto żydzi, wy-  
odrębniający się od polskiej ludności, grupują  
się prawie wyłącznie w jednej dzielnicy, mia-  
nowicie w północno zachodniej części miasta,  
która ma charakter zupełnie żydowski, ale za  
to w pozostałej części Warszawy obecność ich  
mniej się spostrzega. Dalej poza rogatkami War-  
szawy ciągną się obryznie przedmieścia, które  
wprwdzie administracyjnie do miasta nie należą  
ale niewątpliwie należą do niego, organicznie,  
i które zamieszkałe są prawie wyłącznie przez  
chrześcijańską ludność robotniczą. Przedmieścia  
te, dodane do Warszawy, dadzą imponującą  
liczbę 1,100,000 do 1,200,000 mieszkańców,  
wobec której procent żydów tembardziej zma-  
leje.

Wszystkie zatem obawy o Warszawę są  
płonne.

Telefonom z Łodzi.

Główny zarząd więzieln w Petersburgu za-  
wiadomił magistrat łódzki, że postanowił wy-  
asygnować 100,000 rubli na budowę centralne-  
go więzienia w Łodzi, z warunkiem, ażeby wy-  
dzielony został pod budowę jeden z placów  
miejskich, w zamian za co magistrat przyni-  
e na własność budynek więzienny przy ulicy  
Długiej Nr. 13.

Samoobrona.

W Królestwie Polskim lud na serwo za-  
czyna myśleć o samoobronie. W powiecie np.  
mławskim istnieje niedaleko granicy pruskiej  
gmina, której obywatele włościłanie, nie mając  
pośród siebie ani jednego dworu, wyłącznie

własną pracą i inicjatywą postawili stan swego  
gminy tak wysoko, iż może innym świecić przy-  
kładem. Jest to gmina Niechocin, składająca  
się z 10 wiosek włościńskich, położona o  
23 wiorsty od Mławy i o 14 od Żurmina.

Jak pisze „Głos polski” w gminie tej na  
pomieszczenie 6 cin szkół ludowych postawiono  
piękne murowane budynki, podług wszelkich  
wymagań higieny współczesnej. Oświata stoi  
na tym poziomie, że niema już prawie nie-  
piśmiennych, we wszystkich wioskach można  
znaleźć gazety. Założono tu i ówdzie sklepik  
spożywczy spółkowy, prowadzony z dobrym  
rezultatem.

Obecnie gospodarze krzątają się koło zało-  
żenia ochronki, chodzi tylko o załatwienie zwy-  
kłych formalności. Pod wpływem oświaty rolni-  
ctwo bardzo się podnosi, czego najlepszym do-  
wodem jest odznaczenie najwyższą nagrodą w  
Mławie jednego z włościńskich rolników. Po-  
ziom etyczny wzniósł się również znacznie: al-  
koholizm jest tu prawie nieznanym, a piniactwo  
zniknęło doszczętnie.

Projekt budowy sztucznego kanału.

Poruszono na nowo projekt budowy sztucz-  
nego kanału od rzeki Pilicy do Łodzi, jako środ-  
ka komunikacyjnego z Wisłą. Projektodawcy mają  
na względzie nie tylko wytworzenie środka ko-  
munikacji wodnej dla dostawy towarów, lecz  
i zaopatrywanie Łodzi w dobrą wodę, a tem  
samem podniesienie miasta pod względem sani-  
tarnym i przemysłowym.

Mimowolne zabójstwo.

Z Bobrujska w Mańszczyźnie donoszą, że d. 14  
z. m. obywatel Bronisław Zakrzewski, podczas  
polowania w lesie swoim, w majątku Jasny  
Las przez nieostrożność zastrzelił swego sąsiada,  
Włodzimierza Wolka-Lewanowicza

Pokłady ołowiu w Królestwie.

Radom. — W powiecie opatowskim odkryto  
pokłady ołowiu.

Zdemaskowanie prowokatora.

Do „Kurjera Lwowskiego” donoszą z Często-  
chwy: P. P. S. ogłosiła memoriał, w którym de-  
maskuje redaktora „Gonia częstochowskiego” nie-  
jakiego Wojciechowskiego, piętnując go jako  
prowokatora. Ów Wojciechowski przed dwoma  
lata przybył do Częstochowy i zajął w życiu  
obywatelskiem miasta wybitne stanowisko. W  
Warszawie przed 8 laty wydawał on za żandarm-  
skie pieniądze czasopismo „Nowe życie” w  
którem zamieszczano były rewolucyjne artykuły,  
z których wiele sam Wojciechowski pisał i pod-  
pisywał pseudonimem „Nalęcz”. W memoriale  
wykazano, że Wojciechowski już 10 lat jest na  
ustugach ochrania kijowskiej, warszawskiej, i  
łódzkiej, Liczba ofiar, które on wydal w ręce  
żandarmerji, wynosić ma przeszło 100. Znosił  
się on bezpośrednio z rotmistrzem żandarmerji  
Zawarynowem

Sprzedż lasów w Królestwie.

Zarządy dóbr w Królestwie Polskiem zamie-  
rzają jeszcze tej jesieni sprzedać lasy: w gubernii  
warszawskiej za sumę 900,000 rubli, w su-  
walskiej za 710,000 rubli, w łomżyńskiej za  
510,376 rb., w lubelskiej za 283,994 rb., w ra-  
damskiej za 488,670 rb., w kieleckiej za 779,122  
rb. Nadto zarząd Księstwa Łowickiego z 3-  
ch swoich leśnictw sprzedaje lasu za 200,000 rb.  
Rząd rosyjski spodziewa się ogółem zebrać  
drogą sprzedaży lasów, pozostających w jego  
ręku, przeszło 4 miliony rubli. Transakcja han-  
dlowa w tak olbrzymich rozmiarach i w prze-  
ciągu krótkiego czasu, uale wydaje się możliwą.  
W każdym razie lasy dostaliby się w ręce spe-  
kulantów handlowych i uległyby ogólnej dewas-  
tacji, co by poważnie wpłynęło na warunki ży-  
cia ekonomicznego w Królestwie Polskiem.  
Taką to gospodarkę rabunkową uprawiają na  
skórze naszej carskie slugusy.

Zabór austriacki.

—  
Dzień śląski w Krakowie.

W niedzielę 15 z. m. zbiórane w Krakowie  
na szkoły polskie w Cieszynie. Chociaż  
rząd austriacki i gminy przejęły już niektóre  
szkoły i gimnazja na swój koszt, stowarzysze-  
nie cieszynskie „Macierz Szkolna” wydaje na  
szkoły rokrocznie kilkadziesiąt tysięcy. Niedobór  
w jej kasie dochodzi do blisko 70 tysięcy ko-  
ron, wytłaczanych więcej, niż było dochodów.  
Na Śląsk austriacki składa więc cała Polska.

Urządzony w niedzielę „Dzień śląski”, mający  
na celu wspomoczenie Macierzy cieszynskiej, po-  
wiódł się doskonale. Składki płynęły obficie.  
Na wiecu obywatelskim, który odbył się w sali  
„Sokola” pod przewodnictwem posła Zielenie-  
wskiego, uchwalono rezolucję profesora Stro-  
ńskiego, by Pałacy z Galicyi zapisywali się na  
członków Macierzy cieszynskiej i aby Koło Pol-  
skie w parlamencie austriackim wystąpiło w  
obronie polskości na Śląsku cieszynskim. Dele-  
gat Macierzy śląskiej, dyrektor gimnazjum re-  
alnego w Orłowej p. Jarosz przedstawił opiekun-  
ny stan finansowy Macierzy, groźące niebezpie-  
czeństwo zamknięcia przez nią szkół i dające  
się przewidzieć smutne następstwa. Omawia-  
jąc walkę polsko-czeską na płu szkolnictwa dy-  
rektor Jarosz żywymi przykładami objaśniał  
barbarzyńską zachłanność Czechów i rabunek  
dusz polskich, przez nią dokonywany. Społe-  
czeństwo polskie w Galicyi ma święty o-  
bowiązek przyjść z natychmiastową wydatną

pomocą Macierzy. Do szkół ludowych Macierzy na około 15000 dzieci uczęszczało przeciw w roku ubiegłym 653 dzieci rodziców pochodzących z Galicji. W osmiu ochronkach przez Macierz utrzymywanych było 321 dzieci rodziców pochodzących z Galicji, a tylko 76 dzieci rodziców słaskich. Macierz słaska nie z prośbą więc, ale z żądaniem do społeczeństwa polskiego w Galicji się zwraca o wydatną pomoc materialną.

#### Polskie Towarzystwo emigracyjne.

Polskie Two emigracyjne, a zwłaszcza jego dyrektor, P. Józef Okolowicz, narażeni byli na bezustanne, ciężkie ataki ze strony „Głosu Narodu“ i „Monitora“. Skłoniło to Radę nadzorczą Towarzystwa na posiedzeniu, odbytem w dniu 23 września b. r. do jednogłośnie wyrażenia p. Józefowi Okolowiczowi zupełnego zaufania, oraz współczucia z powodu skierowanych przeciwko niemu napadów, oraz do wybrania, na wniosek dyrekcji, komisji w celu dokładnego zbadania toku urzędowania i manipulacji biurowych, a nadto zarzutów, podnoszonych przeciwko kierownikowi Polskiego Towarzystwa emigracyjnego przez „Głos Narodu“.

Komisja rzeczona po przeprowadzeniu szczegółowych badań stwierdziła, iż wszystkie te zarzuty polegają bądź na faktach zupełnie nieprawdziwych lub tendencyjnie przekręconych, bądź na relacjach, pochodzących ze źródeł mętnych i niezastęgujących na wiarę.

Obszerne bardzo i szczegółowe odparcie zarzutów, którego z powodu braku miejsca w pełnym brzmieniu powtórzyć nie możemy, podpisali członkowie komisji; dr. J. Hupka, dr. Alfred Halban, dr. Antoni Górski, Cezary Haller, ks. dr. A. Kopyciński, dr. A. Krzyżanowski, Bronisław Laskownicki, dr. Wit. Lewicki dr. P. Starzewski, dr. J. K. Steczkowski, dr. Wł. Sleszowiec, J. Wasung, Fr. Wójcik dr. I. Wróbel.

#### Zabór pruski.

#### Orzeł na ratuszu Poznańskim.

Jak wiadomo, starożytny orzeł polski, przez kilka miesięcy kamień obrazu dla bakatystów całych Niemiec, został z powrotem umieszczony na wieży ratuszowej w Poznaniu. Do skrytki włożono nowy dokument.

Na posiedzeniu poznańskiego niemieckiego Towarzystwa historycznego wygłosił radca archiwalny, profesor Warschauer, odczyt z kilkunastu historycznymi szczegółami o orle poznańskim. Orzeł ma 2 metry szerokości, 1 metr 80 cm. wysokości. W skrytce zawierał kilka dokumentów, monet itd. Zawartość archiwalną oddano tymczasowo do archiwum państwowego w Poznaniu.

Pierwotnie wieża ratuszowa zakończona w kształcie helmu, miała pret i kilka pozłacanych kul. Gdy w r. 1536 ratusz w znacznej części zgorzał, wieża została także uszkodzona, ale orzeł nie spadł. Giovanni Batista di Quadro, który przebudował ratusz poznański, nie potrzebował nie zmieniać na szczycie wieży, gdyż ta część była już wyrestaurowana. W r. 1573 jednakże szczyt wieży obito nowymi płytami miedzianymi i kulę pozłociono. W r. 1588 podczas wojny ratusz poznański doznał uszkodzenia. Kula armatnia uderzyła w sam szczyt wieży. Gdy nastąpił spokój, powierzono wyrestaurowanie wieży Stefanowi Aleksowi z Bawarii. Roboty trwały lat 5. Spisano wtedy dokument z datą 12 lutego 1593 r. i włożono go do kuli wierzchniej. W poemacie łacińskim „Ad posteritatem“, wyrażono żale z powodu doznanych klęsk, a zarazem nadzieję że nastaną lepsze czasy. W r. 1641 pozłociono kulę na nowo, a w około pręta żelaznego umieszczono cztery posągi książąt.

W roku 1845 po raz trzeci spotkało niebezpieczeństwo wieżę. Wtedy uderzył w nią piorun wskutek czego owa kula, w której mieścił się dokument, spadła. Wyjęto z niej zawartość i umieszczono w archiwum miejskim.

W roku 1690 rozpoczęto znów reperację. Pręt żelazny podwyższono i umieszczono na nim chorągiewkę i orła. Piękność zakończenia górnego wieży podziwiano ogólnie. W kulę włożono zamiast dokumentu pięć przedmiotów, dziś jeszcze zachowanych, a świadczących o nabożności ówczesnej ludności poznańskiej. Przedmiotami temi były: „Agnus Dei“ relikwie świętych, różaniec, krzyż podwójny na papierze z literami, których znaczenia jeszcze nie odczytano, tudzież obrazki czterech ewangelistów z początkami ewangelji w języku polskim. W r. 1725 zerwał straszliwy orkan szczyt wieży która spadła na dach domu przy ulicy Wronieckiej. Zawartość kuli uratowano. Czasy następne, wojenne, nie dozwalały na wyrestaurowanie wieży. Dokonano restauracji dopiero w 1783 roku. Roboty wykonano podług projektu nadesłanego z Krakowa, przy pomocy pieniężnej rządu polskiego. Za ukucie orła z płyt miedzianych, otrzymał kotlarz Markus 100 złotych, a za ołoczenie szpon itd. 53 złote. Miedz użyto do orła była stara i składała się z różnych kawalków, co dziś jeszcze spostrzedz można. Orzeł był biało pomalowany. Zawiesił go czeladnik ciesielski, Jakob Brand, dnia 16 lipca 1783 roku. Wtedy to w skrytce umieszczono też rzeczy pamiątkowe, tj. dokument, monety i td.

#### „Mazurzy — nie Polacy!“

Jakiś Kurt v. Strantz zamieścił w Berlińskim „Tagu“ artykuł pod tytułem „Die Mazuren keine Polen“ w którym pisze, że Mazurzy to nie Polacy, lecz społeczeństwo Niemcy. Przyzwyczajeni jesteśmy do rozmaitych kręctw haka-jystów, ale powyższy wzmiarkowany jest najpóźnym z najśmieszniejszych. Wywody Kurt v.

Strantz'a ośmieszają autora w oczach wszystkich myślących ludzi.

#### Nadesłane.

(Za dział ten Rudakeya nie odpowiada).

Towarzystwo szkolne p. t. „Związek w Ypirandze potębia brutalny i bezczelny napad żydówki Strekerowej, którego się dopuściła na osobie ks. Józefa Anusza.

Napad ten, który został uplanowany przez osoby nam wiadome (żydówka była tylko narzędziem) w oczach naszych nie skompromitował ks. Anusza owszem, tak przesadowanego obecnie więcej jeszcze cenimy i kochamy, a potępiamy nikczemnych sprawców napadu.

Ypiranga dnia 17 grudnia 1911.

Zarząd Towarzystwa:  
Prezes: Jan Owczarek.  
Sekretarz: Michalina Wagner.  
Kasyer: Jakób Ziolkowski

Szanowna Redakcja „Gaz. Polskiej“ w Kurytybie.

Proszę o wydrukowanie w całości na łamach swego poczytnego pisma listu mojego, który wysłałem do Redakcji „Polaka“ w Brazylii.

Z najwyższym szacunkiem  
Michał Nowacki.

#### Redakcja „Polaka“

w Kurytybie.

Dość już nam destrukcyjnej roboty „Polaka“ Ujadanie na dr-a Kossobudzkiego, rzucanie się na ludzi dobrej woli, którzy chcą założyć szkołę polską w Kurytybie, ostatnio napad na ks. Anusza, wszystko to jest tak niesmaczne i głupie w dodatku. Weźmy chociażby ostatnie zajście; ks. Anusz uszczepił p. Strecker i to na dworcu kolejowym. Trzeba być naiwnym aby w to wierzyć. Nie jestem przyjacielem ks. Anusza, miałem nawet sam z nim b. przykre zajście, ale takich środków walki z przeciwnikiem nigdy się nie używa. I jeszcze jedno daje dużo do myślenia. Fakt napadu na ks. Anusza miał miejsce w czwartek 7-go grudnia, a już w „Polaku“ z 8-go grudnia znajduje się szczegółowy opis. Wiem bardzo dobrze, że zwykle w czwartek Nr jest zupełnie gotów, że w czwartek wysła go się na klonię, że różne zajścia nawet ze strony ukazywały się w tymże „Polaku“ zwykle w następnym numerze, a nie najbliższym. Czy czasami redakcja „Polaka“ nie ma daru protocze-go, że zaczekała z wyjściem Nr. aż do chwili kiedy napad na ks. Anusza został faktem dokonanym?

Proszę przeto więcej „Polaka“ mi nie przysyłać, wykreślić mi z listy „agentów“ „Polaka“ i wstrzymać wysyłkę swego pisma Michałowi Siwica, Antoniemu Dolinskiemu i Pawłowi Stajfowi, którzy również jak i ja nie chcą mieć z „Polakiem“ nic wspólnego.

Z należnym Respektem szacunkiem  
Michał Nowacki.

Nova Galicja 12 grudnia 1911.

#### Protest.

Towarzystwo „Swit“ protestuje przeciwko napadom, jakiego dokonała Pelagia Streker, uchodząca do tej pory za Emiljanową Żelazniakową, na ks. Józefa Anusza.

Gdy rzucimy okiem na życie polskie w Paranie i uprzytomnimy sobie różne wydarzenia jak n.p. wybicie szymbu byłego redaktora „Gazety Polskiej“ p. Leona Bieleckiego, napad i pobicie jego samego, proces wytoczony członkom „Towarzystwa Szkoły ludowej w Brazylii“ na Kampinie przez pełnomocnika tegoż Towarzystwa, pod pozorem rujnacji szkoły, gdy w rzeczywistości członkowie miejscowi kazali popsute zamki przyprawić, gdy sobie przypomnimy zadenuncjowanie ks. Anusza i t. p. to musimy dojść do wniosku, że wśród nas istnieje jakiś czarny osobnik zakazający nasze życie społeczne.

Prezes: Jan Jantas.  
Sekretarz: Franciszek Wójtowicz.  
Skarbnik: Franciszek Furman.

#### OD ADMINISTRACJI GAZ. POLSKIEJ.

Zmuszeni jesteśmy zwrócić się do Sz. Czytelników w kwestyi dla nas nader żywej, bo dotyczącej bytu naszego pisma. Przy objęciu wydawnictwa Gazety Polskiej zmuszeni byliśmy przejąć wszystkie zaległości za prenumeratę i prosiliśmy wówczas Sz. Prenumeratorów o uregulowanie rachunków; a są to zaległości z 4-rech ostatnich lat, stanowią więc znaczną sumę tak, że istnienie nadal Gazety Polskiej zależnem będzie od ich pomysłnego zrealizowania. Prośba nasza przebrzmiała bez skutku, bo zaledwie znikająco mała liczba osób interesowanych poczęła się do obowiązku wyrównania swych rachunków, ogromna zaś większość zbyła nas milczeniem. Prenumerata, czyli przedpła-ta tj. zapłaćta z góry stosowana jest przez wszystkie dzienniki całego świata i tylko tu w Paranie wśród czytelników polskich przyjęła się zgubny zwyczaj nieopłacania gazet przez szereg lat, co ma ten skutek, że żadne pismo polskie ani utrzymać, ani odpowiednio rozwinąć się nie może. Do tego cena przedpłaty, wskutek dawniejszej niedrożej konkurencji tutejszych pism polskich, do tego stopnia została obniżoną, że jeżeli jeszcze jakaś gazeta przez 4 lata od większej połowy swych prenumeratorów nie otrzy-

muje zapłaty, to jej dalsze istnienie jest wprost niemożliwe.

Przysłaliśmy zatem do przekonania, że jeżeli pismo nadal mamy wydawać, to dotychczasowy system pobierania przedpłaty gruntownie zmienić musimy; uwiadamy więc sz. Prenumeratorów naszych, że od 1 stycznia 1912 r. począwszy, tym tylko nadal gazetę wysyłać będziemy, którzy do dnia 31 bieżącego miesiąca zaległości swe z nami uregulują.

Przygotowani jesteśmy na to, że wielu z dłużników przestanie prenumerować nasze pismo, korzystniej jednak jest dla nas mieć mniej prenumeratorów ale i mniej wydatków, niż szczyścić się wielu prenumeratami a ponosić przy tem straty. Aby więc później do nas nikt nie czuł urazy oświadczamy raz jeszcze, że **nieodwołalnie wstrzymamy** od Nowego Roku wysyłkę gazetę wszystkim tym, którzy do końca starego roku nie wyrównają całej zaległej prenumeraty, a zmusza nas do tego postanowienia względ na dalsze istnienie naszego pisma.

#### KRONIKA.

W dzisiejszym numerze G. Polskiej rozpoczęliśmy druk gowieści pod tytułem „Szarańczka“ osnutej na stosunkach górnośląskich. Autor powieści p. Artur Gruszecki, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich, barwnie i zajmująco, a na podstawie własnych osobistych spostrzeżeń, przedstawia walkę ludu polskiego na pruskim Śląsku z przemożną falą niemczyzny, walkę o swoje przyrodzone prawa, o język i narodowość, które mu wrogie rządy i wrocie otaczające od lat sześciuset dotychczas bezskutecznie wydrzeć usiłują. P. Artur Gruszecki znanym jest osobieście i w Paranie, gdyż przed mniej więcej dwunastu laty bawił on dłuższy czas w Kurytybie, ba dając życie tutejszej Polonii.

Przybył do Kurytyby p. Kazimierz Krapieński z Vera Guarany ze skargą na ostawionego pułkownika Fabricio, który jego dom napadł, spalił, a co było wartościowego, zrabował. Jeżeli i tym razem rząd nie ukręci samowoli protegowanego awanturnika, to nie pozostaje nic innego spokojnym mieszkańcom okolicy, w której on grasuje, jak zorganizowanie samobrony na własną rękę. Dla nas zaś Polaków bezkarny ten napad niech będzie nowym dowodem, że tylko politycznie zjednoczeni możemy wymusić od rządu zastosowanie środków broniących nas od podobnych krzywd i nadużyć. Niechaj więc nikogo nie branie na wieceu polskim w niedzielę, gdzie będzie omawiana sprawa utworzenia politycznego stronnictwa polskiego na Paranie.

W suszarni mięsa na Portongu jeden z robotników, niejaki Balsoni zabił w obronie własnej pełnięciem noża drugiego robotnika, znanego z awantur murzyna Jose Maria. Sprawą zajęła się policja.

W ciągu miesiąca stycznia należy zapłacić podatki: od wozów, od samochodów, rowerów, od wagi i miar i psów. Przedłużenie terminu opłaty wykluczone.

Wszystcy więksi hodowcy bydła w Brazylii będą musieli zarejestrować urządzenie marki ja-

kich używają do znaczenia i podać liczbę posiadanej bydła. Rejestrowanie to, które jest bezpłatnem, należy uskutecznić u najbliższego urzędnika spektoriatu rolniczego. Celem tego nowego rozporządzenia jest sporządzenie statystyki inwentarza żywego całego kraju.

#### Ostatnie wiadomości

**London** 18 Prasa angielska potębia potębia postępowanie Włochów, którzy w toczącej się wojnie stosują pociski t. zw. dum-dum, tj. kule eksplodujące i powodujące straszne rany.

**Rzym** 18 Główna komenda włoska ogłosiła, że karać będzie śmiercią przez powieszenie Arabów podejrzanych o znęcanie się nad ranymi lub wziętymi do niewoli żołnierzami włoskimi.

**Rzym** 18 Oddziały włoskie, które posunęły się w głąb kraju w służbie wywiadowczej przyle zostały nader żywym ogniem karabinowym, ze strony Arabów, tak że cofnąć się musiały ze znacznymi stratami.

**London** Brazylia zaciąga nową goźyczkę w Anglii w sumie 2,400,000 funtów szterlingów.

**Konstantynopol.** Rząd turecki wydał dekret, mocą którego, wszyscy poddani włoscy mają opuścić państwo otomańskie.

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Kurytybie odbyło dnia 17 grudnia swoje roczne walne zgromadzenie, na którym wybrano następujący zarząd na rok 1912:

Prezes: F. Dybowicz.  
Zast. Prezesa: Miteczuk.  
Sekretarz: F. Tarantowicz.  
Zast. Sekretarza: E. Rychter.  
Skarbnik: W. Kakiet.  
Bibliotekarz: H. Adamik.  
Chorąży: J. Pasielko.

Towarzystwo Im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie prosi sz. Członków o liczne przybycie na Walne Zebranie które się odbędzie w niedzielę dnia 31 b. m. o godzinie 2-jej po południu w budynku własnym.

Zarząd.

Z c. i. k. austr.-węgier. Konsulatu w Kurytybie poszukuje się Kaź. Rodakowskiego i Michała Dmytrów.

Ktoby wiedział obecne miejsce pobytu poszukiwanych, zechce łaskawie Konsulatowi donieść.

#### Sprzedaz lotów.

#### Kolonia Carazinho.

Właściciel tej kolonii zawiadamia interesowanych, że jeszcze ma do sprzedania po cenie umiarkowanej znaczną ilość lotów lasu dziewiczego. Na kolonii tej odległej o kilka kilometrów od stacyi kolejowej Paulo Frontim, a ciągnącej się wzdłuż toru kolejowego osiadło już dotychczas około 100 rodzin polskich i austriackich. Każdy lot składa się z 10 alkerów doskonałej ziemi. Blizsze szczegóły u właściciela.

Estação Paulo Frontim, Colonia Carazinho.

Sebastyan Quadros, właściciel.

## Wielki Sklep Polski

### Franciszka Kureckiego, przy ul. Saldanha Maranhão /róg ulicy Visconde do Rio Branco/



ma zawsze na składzie mąkę pszenną, żytnią, i kukurydzaną; cukier, ryż, sól, śledzie, słivki, rodzynki, chmiel i t. p.; kukurudzę, fasolę, otręby, sieczkę i wszelkie produkta rolne i kolonialne.

Trunki krajowe i zagraniczne w najlepszych gatunkach. Ogromny wybór naczyń kuchennych, noże, łyżki, widelce, garnki, łyżki, kociołki z łanego żelaza i emaliowane. Dalej, wielki wybór pocztówek, papieru do pisania i bibułek jedwabnej, koronek, wstążek, krepienek (ponto russo), pończoch, szkarpetek, chustek, medalików, dewizek, spinek, guzików, grzebieni, szklanek i filiżanek ozdobnych na podarunki.

Kupuje produkta rolne jak kukurudzę, żyto, fasolę, ziemniaki, masło, jajka, drzewo i t. p.

SPRZEDAŻ HURTOWNA I DETALICZNA.

Zakupy ponad 10\$000 odsyła się bezinteresownie do domu.

Naszą dewizą jest sprzedawać dużo, aby miedz sprzedawać jak najtaniej.

#### Loty miejskie do sprzedania.

W miasteczku Iraty przy głównej ulicy blisko stacyi kolejowej sa razem do sprzedania 3 loty miejskie za PRZYSTEPNĄ CENĘ. Na pierwszym z nich stoi piękny dom mieszkalny, na drugim również obszerny dom mieszkalny z urządzeniem sklepowym, a na trzecim wielkich rozmiarów skład na herwę; do pierwszego przytyka jeszcze portreira obszaru około 4 alkerów, z czego 2 alkiery ogrodzone, a dwa kapuery. Tyły lotów odgranicza rzeczka.

Blizsze szczegóły w Redakcji „Gazety Polskiej“.

## Wysprzedaż!

Z powodu zmiany lokalu wysprzedają do końca roku wszelkie towary towarowe PO CENACH ZNACZNIE ZNIŻONYCH. Wiele materii, które w większych ilościach znajdują się jeszcze na składzie, oddają po CENIE KOSZTÓW.

**Ignacy Kasprovicz,**  
róg ulic 15 de Novembro i Riachuelo.

## Zakład Kapeluszniczy

Chapelaria Bube

rua Barão do Serro Azul 26.

Posiada zawsze na składzie kapelusze dla mężczyzn i chłopców w najrozmaitszych gatunkach. Zamówienia wykonuje się pod gwarancją i po cenach nader przystępnych.

Odnawia się zniszczone kapelusze po cenie 3\$000 do 6\$000

## Kamieni młyńskich

parę o średnicy 75 cm., żytniaków zagranicznych, specjalnie do maki pyłowanej, ma do sprzedania

w Marechal Mallet St. Miecznikowski.

## Skład Towarów Korzennych (Seccos e Molhados)

Fabryka Kawy „RIO BRANCO“  
przy placu Zacharias Nr. 100.

Posiada zawsze na składzie mąkę pszenną, żytnią i kukurydzianą. Cukier, Ryż, Sól, Fiżon, Kukurydzę i t. p. produkta kolonialne.

Wszelkie gatunki trunków, wyrobu krajowego i zagranicznego.

Wyśmienity gatunek kawy RIO BRANCO palonej i mielonej we własnej fabryce. Kupuje i sprzedaje wszelkie produkta rolnicze, jak kukurydzę, kartofle, fiżon i t. p. Sprzedaż hurtowna i detaliczna.

Michał Skrobot.

## AKUSZERKA

z dyplomem Warszawskiego Instytutu Położniczego i długoletnią praktyką udziela porad i przyjmuje zamówienia.

Praca Tiradentes Nr. 47. — Telefon Nr. 356  
LUDWIKA GROSS.

## Bezpłatnej porady lekarskiej

udziela dla

### CHORYCH NIEZAMOŻNYCH

lekarz świeżo przybyły z Europy  
od godz. 10 rano do 3 po południu, z  
wyjątkiem niedziel

w „Apteczce Niemieckiej“.

## Pharmacia Allema

Praca Tiradentes 1. 10-12.

Porady płatne także od godziny 4. do  
6. wieczorem.

## Baczność!!

Okazy, która się nieprędko powtórzy.

Kto potrzebuje artykułów dewocyjnych i materiałów piśmiennych, niech korzysta z nadarzającej się sposobności i niechaj spieszy do handlu CEZARA SZULCA, gdzie z powodu mającego nastąpić przebudowania domu urządza się wysprzedaż po bajecznie niskich cenach. Znajdzie tam w olbrzymim wyborze krzyże, kropielnice, różańce, szkaplerze, obrazy religijne, figury, lichtarze, świeczniki (pajaki kościelne), książki do nabożeństwa i wogóle wszystko co do tego działu należy.

Z materiałów piśmiennych i przyborów szkolnych poleca się kajety, ołówki, rączki od zwykłych do najwykwintniejszych, papiery i koperty listowe, książki szkolne, księgi handlowe, przybory dla inżynierów, papier do pakowania (po 700 rs. za kilo), szpagat, kalamarze, atramenty, wiązarki etc. etc.

Celem opróżnienia składu sprzedają po SPECYALNIE NISKICH CENACH bibułki jedwabne, kolorowe i papiery do robienia kwiatów, liści i tulipanów.

Kupujcie więc póki zapas starczy, bo wysprzedaż będzie tylko trwała 3 do 4 miesięcy.

Pozatem polecam: moją wzorowo urządzonej drukarnię, introligatornię i fabrykę pieczętek kauczukowych.

Wszelkie zamówienia w moich zakładach wykonuje się dokładnie, gustownie, czysto, szybko i po możliwie niskich cenach.

Cesar Szulc

ul. Barao do Serro Azul 1, 12--14

CURITYBA, ESTADO DO PARANÁ.

## SKŁAD KAPELUSZY „VENUS“ i Fabryka Parasoli

Stanisława Wojskiego

przy u. 15 de Novembro Nr. 20.

Posiada zawsze na składzie duży wybór kapeluszy męskich i dziecięcych wszelkich fasonów. Parasole i parasolki jedwabne, satynowe i t. p. materiały. Sprzedaż obuwia męskiego, laski, koszule, krawaty, skarpetki, chustki i t. p. to wary. Naprawia się parasole i odświeża kapelusze.

SPRZEDAŻ DETALICZNA i HURTOWNA. — Dla Pp. Kupców DUŻY RABAT.

Ceny bezkonkurencyjne.

Towary są sprowadzane z pierwszorządnych fabryk europejskich

STANISŁAW WOJSKI, rua 15 de Novembro Nr. 20.

Świeże Nasiona z Węgier, które w Paranie okazały się najlepszymi otrzymał Ludwik Szczerbowski w Kurytybie ulica America Nr. 79. Znaczący zapas k-pusty, sałaty, marchwi, buraków ćwikłowych, ogórków, pomidorów olbrzymich, brukwi, kalarepy i wiele innych. Dla pp. kupców duży rabat.

Adres d'a listów: Kurytyba Caixa Postal 77.

Duży zapas bibułki do papierosów „Pobudka“ z Krakowa w pudełkach po 100 książeczek. Pudełko 8\$000.

Papiery z usnikami nieklejone z doborowych tytoni sprowadzanych z pierwszorządnych fabryk poleca Sz. Publiczności polska fabryka papierosów. Marki: Norton, Ideal, Curitybano, Luxe, Polskie Bim Bom.

Adres: Ludwik Szczerbowski, Kurytyba Caixa Postal nr. 77.

POPIERAJMY POLSKI PRZEMYSŁ i HANDEL!

## „Formicida Schomaker“

niszczy niezawodnie mrowiska.

Uprzywilejowana przez Rząd Związkowy, stosowana z najlepszym skutkiem przez krajowe Towarzystwo Rolnicze w S. Paulo i wiele innych podobnych instytucji krajowych.

CURITYBA „Casa Salmon“ rua JOSE BONIFACIO Nr. 11.

Pracownia Kwiatów i Magazyn Kapeluszy Damskich, pod firmą

„Violetta“.

Praca Tiradentes Nr. 47.

Przyjmuje wszelkie zamówienia w zakresie kwiaciarstwa wchodzące.

Na dzień zaduszny poleca wieniec na groby od skromnych do najwykwintniejszych, po cenach możliwie tanich.

Formicida „Schomaker“

najlepszy środek przeciw mrowkom

otrzymała

„CASA SALMON“

rua Jose Bonifacio Nr. 11. Curityba.

